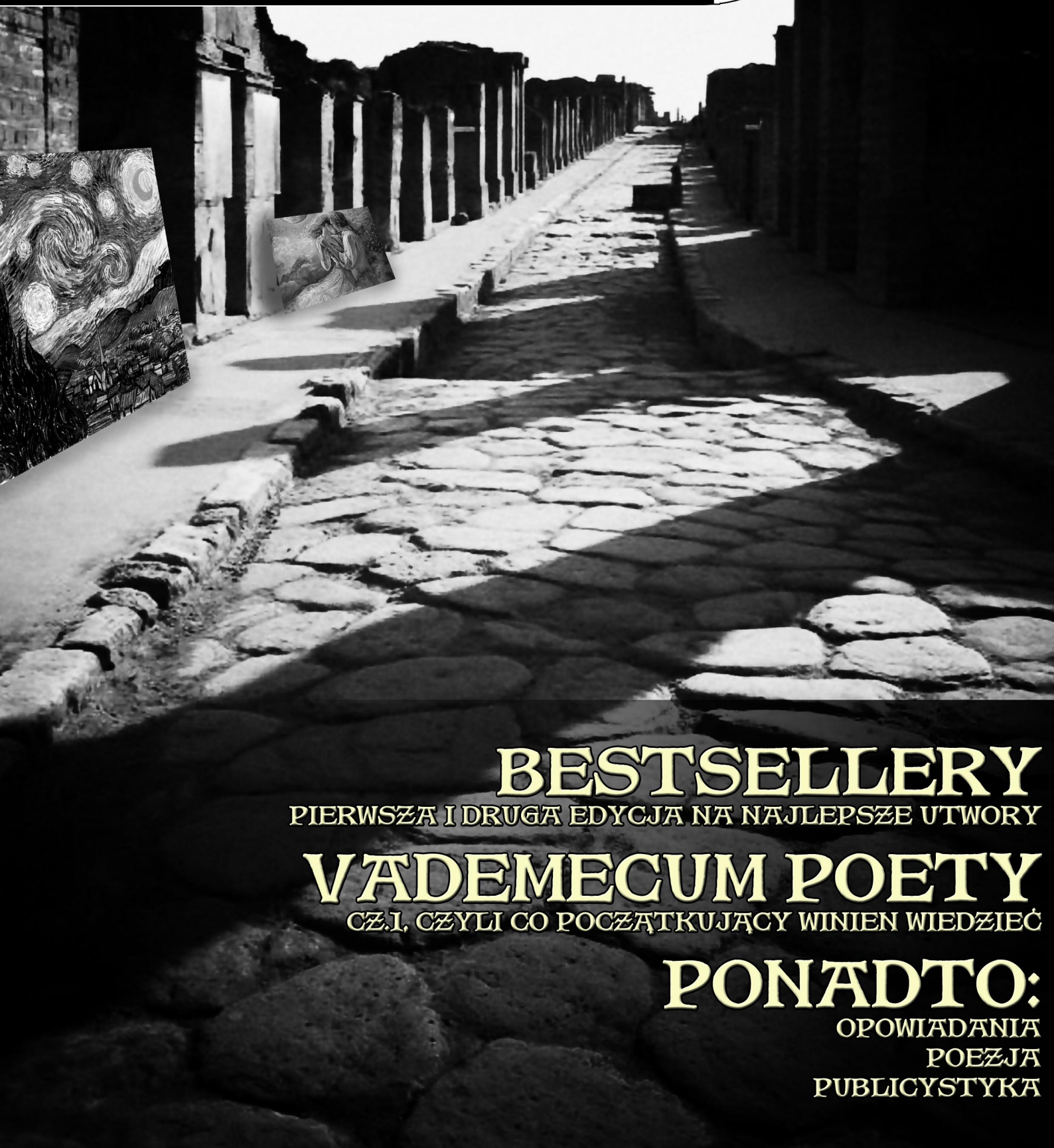


05/2010

VIA APPIA

DROGĄ KULTURY I LITERATURY

1



BESTSELLERY

PIERWSZA I DRUGA EDYCJA NA NAJLEPSZE UTWORY

VADEMECUM POETY

CZ. I, CZYLI CO POCZĄTKUJĄCY WINIEN WIEDZIEĆ

PONADTO:

OPOWIADANIA

POEZJA

PUBLICYSTYKA



Redakcja:

Michał "Zguba" Olejarski

(molejarski@gmail.com)

Przemysław "Rootsrat" Małacha

(przemek.malacha@gmail.com)

Mail Ogólny:

foruminkaustus@gmail.com



WSTĘPNIK

Słowem Wstępu

Witajcie drodzy Czytelnicy w pierwszym numerze **Via Appia**!

W niniejszej formie pragniemy prezentować Wam szeroko pojętą twórczość użytkowników forum - **Inkaustus.pl**. Jeżeli jesteście osobami kreatywnymi i otwartymi, to zapraszamy do naszego grona!

Początki bywają trudne, także i w naszym przypadku pierwszy numer rodził się z towarzystwem potu i łez, niemniej udało się! Dzięki uporowi, mam przyjemność zaprosić do lektury.

Zapraszam zatem do Bestsellerów (zarówno pierwszej, jak i drugiej edycji), czyli najlepszych utworów forumowych wybranych na zasadzie konkursu, wciągających nie gorzej niż czarne dziury opowiadań i utworów lirycznych.

Niewątpliwie warto zajrzeć do działu "Poradniki", gdzie nasi użytkownicy pragną podzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem z innymi.

Mam nadzieję, że czas spędzony z nami okaże się przyjemny. Oczywiście wszystkich chętnych zapraszamy do współpracy oraz na nasze forum!

Michał "Zguba" Olejarski

Dlaczego "Via Appia"?

Via Appia, a dokładniej Via Appia Antica - Droga Appijska, najstarsza droga rzymska, zwana przez Rzymian regina viarum, czyli królową dróg. (Źródło: Wikipedia)

Pragniemy stać się Waszą królową dróg do szeroko pojętej kultury!

Wszystkie wykorzystane w *Via Appia* teksty zostały użyte za pozwoleniem ich autorów. Utwory są własnością użytkowników forum Inkaustus.pl oraz samego forum. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Spis Treści

Bestsellery

I EDYCJA

Adżkolwiek - Literatura	4
Marcinos 83 - Las	5
Triss - Cisza (18+)	14

II EDYCJA

Piotr Knasiecki - Alibi	16
Rootsrat - Izolacja	17

W Odcinkach

Gorzkiplotnica - Prezent Ślubny cz1	29
--	----

Opowiadania

Archaniol - Ostatni Pociąg	39
Pujssel - Kamień	42

Poezja

Ero - Wspomnienie	44
Kheira - Nibylandia	45
Piotr Knasiecki - Szachy	46
Mroczne Kalesony - Kapu Kapu	47
Rootsrat - Miniatury Zebrane	48

Pogranicza

Grensir - Muzyka z Kaer Morhen	52
Paulina Łuszkiewicz, Przemysław Małacha - Fabryka Pozytywnych Emocji	53

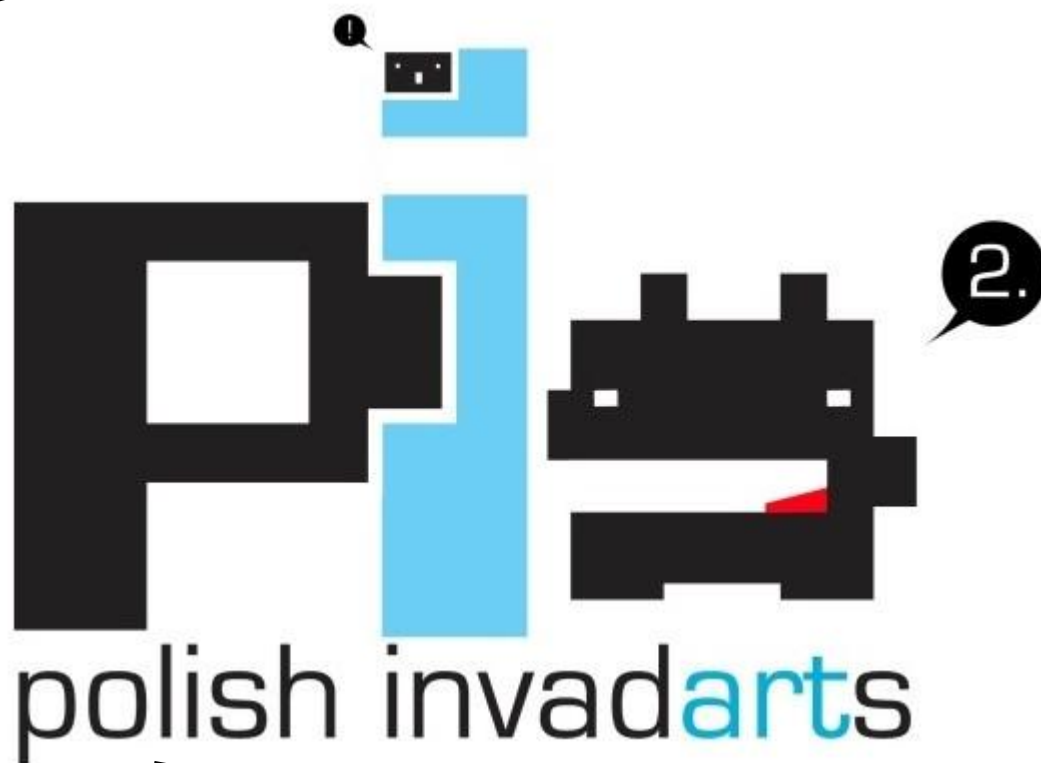
Poradniki

Kheira - Vademecum początkującego poety cz1	54
Rootsrat - 15 Ćwiczeń Pisarskich	60

Disaster - Dzień Otwarcia	62
Kot - Wywiad z Pawłem Bronickim	64



12.VI.2010



**Polski Ośrodek przy Newton Hill Road
w Leeds**

ATOMOWA MOC KULTURY POLSKIEJ

Więcej na stronie 53

Literatura

Autor: Adżkolwiek

Nie potrafię kochać Cię
Tak pięknie wierszami
Co oczami roziskrzonymi
Niczym wiosenne niebo nocą.
Nie potrafię śpiewać Ci
Tak czule, jak pierwsze słowiki
W powietrzu rozedrganym wiosną
Rozjaśnionym pierwszymi promieniami.
Nie umiem Ci być ani ciepła jak
Promień słońca do którego pieszczot
Wystawiasz twarz.
Ani wzruszająca jak wieczór rozpalony
Świecami i winem chłodzony.
Niczym ci nie potrafię być , prócz...

Prócz wersów zbiorom przykusym,
Prócz łez wyciskaczem skromnym,
Prócz warsztatem ciągle niedomkniętym,
Prócz rubensowskim pięknem - większą treścią,
Niż formą.
Prócz liter krzywych potokiem,
Prócz przestrzelonymi myślami szaleńca,
Prócz dziką, niezrozumiałą ...
Literaturą mogę Ci , potrafię Ci być.
Literaturą mogę Ci być poruszającą,
Obojętną lub ulubioną. Niewzruszoną,
Nie wzruszającą. Pewną lub niezrozumiałą.

Nie potrafię Cię kochać,
Lecz stworzona jestem by
Cię za sobą porwać.

Las

Autor: Marcin083

Za osadą rósł Las. Nie jakiś tam las, byle jaki, ale Las właśnie. Ciemny, gęsty, ponury. Grube pnie rozłożystych dębów i strzelistych sosen tworzyły niemal zwartą ścianę, a przez ich korony przebijało się tak niewiele światła, że miało się wrażenie jakby w Lesie wiecznie panowała noc. Miękki mech porastał tych drewnianych matuzaleków, którzy gdyby tylko potrafili mówić... ale, ale, zapędziłem się trochę. Dość powiedzieć, że Las budził grozę, a gdy się człowiek do niego zbliżał, czuł chłód przenikający całe ciało. Nawet w upalne letnie dni, kiedy wokół wszystko smażyło się w słońcu, Las pozostawał chłodny i ponury. I milczący. W normalnym lesie ptaki śpiewają, biegają wiewiórki, jeże, dziki i inne takie, a nocami sowy pohukują i wilcy wyją. A w tym nie. Tutaj tylko drzewa przy wietrze szumiały. Taki właśnie był Las.

Tak więc było oczywiste – a przynajmniej tak mówili miejscowi – że to Las z typu tych, no wiecie, nawiedzonych. Przez Las biegł królewski trakt, i kto się tego traktu trzymał ten zawsze – no, prawie zawsze – cały, zdrowy i żywy do celu docierał. Ale kto trakt porzucał, czy to dla skrótu, dla grzybów czy dlatego, że drogę pogubił, ten – no cóż – przepadał jak kamień w wodę. I nikt go już więcej nie widział ani o nim nie słyszał, koniec, można pogrzeb wyprawiać i testament wykonać.

Wiedzieli o tym wszyscy w okolicy, a my lojalnie ostrzegaliśmy podróżnych – kupców, możnych, wojsko czy chłopów, każdego kto traktem przez Las jechał, by z niego nie zbaczała pod żadnym pozorem. Kto miał uszy do słuchania, ten słuchał. Kto nie – no cóż, trudno. I może właśnie dlatego ściągała tu cała masa najróżniejszych głupków, rycerzyków i studentów historii naturalnej. Wszyscy oni wyglądali albo na bardzo niewyspanych, albo na bardzo nawiedzonych. I wszyscy, jak jeden mąż, przybywali z najróżniejszymi głupotami we łbach: szukali Dobrych Wródek,

jednorożców, siedmiu krasnoludków, Złego Wilka, Baby Jagi, garnca złota, kwiatu paproci i kto ich tam wie czego jeszcze. Ot, siła plotki. Ale spróbujcie wytłumaczyć coś miastowym.

No więc przybywali szukać tych osobliwości, chociaż pierwszy lepszy wiejski głupek wie, że paproć kwiatów nie wydaje. Ale odwiedzali naszą małą osadę, zostawiali tu trochę grosza, i potem ruszali w Las. A że ziemia wokół raczej nieurodzajna była, a myśmy już swoje lata mieli, tedy nawet nie wiecie, jak nam to było na rękę.

Było śmiechu, jak raz przyjechał królewski inspektor. Wiózł jakieś tam dokumenta, trzech miał ludzi do ochrony i w ogóle czuł się strasznie ważny. Jak się przy wieczery dowiedział o Lesie i o tym, żeby traktu się trzymać, zewściekł się jakby mu kto widłami dla żartu tylek podziurawił. Pięściami w stół walił i krzyczał, że na takie zabobony nie ma już miejsca w naszym postępowym królestwie. Zapowiedział:

- Pokażę wam, ile warte są te brednie! Przejdę przez ten las wzdłuż i wszerz i wyjdę z niego ze łbem każdego, kto się władzy pańskiej postawi!

Typowy miastowy.

Zarzekł się, że usiecze każdego lub każdą rzecz, która wejdzie mu w drogę.

Jak powiedział, tak zrobił; i chociaż mu odradzałem to, rzec można, nauka poszła w Las. Jak i on sam. Poszedł, i tyle go widzieli. Nie on pierwszy, nie ostatni. Nie masz ci lekarstwa na ludzką głupotę!

Atoli muszę przyznać, że winien wam jeszcze jeden fakt przedstawić. Otóż był ktoś, kto, po pijaku pobłądziwszy po Lesie, wyszedł z niego żywy. Był to stary Witrocy. W jakiś dół wpadł pewnie i łeb sobie zdrowo poobijał. Szczęścia miał jednak więcej niż rozumu, psubrat jeden. Szczególnie teraz, bo gdy wrócił, rychło okazało się, że cały rozum

postradał. Coś mu się tam we łbie od pobytu w Lesie przewracało, piąta klepka odpadła, no i masz babo placek. Od tego czasu ciągiem się uśmiechał, wierszem gadał i wykazywał lżejsze podejście do życia, ale trzeba go było mieć na oku, żeby czegoś nie podpalił.

Życie toczyło się dalej swoim rytmem, rządzone porami roku, zachciankami bogów i prawami Lasu. Był to korzystny układ, dopóki ktoś się nie wychylał. I pewnie wszystko szło by po staremu, gdyby pewnej wiosny nie pojawił się On.

Był to piękny, słoneczny poranek, nic ino stare kości przed chałupą wygrzewać, ale powiem wam: jak się ten chłop w osadzie pojawił, nagle jakby słońce przygasło, chłodem powiało, psy zaczęły szczekać, dzieci płakać, kury pouciekały, a mleko w mig skisło. Był wielki jak góra, łysy jak mój szwagier, skórę miał miedzianą, obwieszony cały zabójczym żelastwem, a w jego cieniu można było piwo trzymać. Z mordy nietutejszy, z oczu wariat. Człapał powoli drogą, łypiąc wokoło spod byka i dzwoniąc rynsztunkiem, a gdy doszedł do gospody, stał chwilę w otwartych drzwiach i gapił się do środka. No to myśmy się gapili na niego, w tej ciszy nieprawdziwej, co to nastąpiła nagle jak zatrucie pokarmowe. Ruszył się w końcu, siadł ciężko przy stole najbardziej w rogu i głosem niskim, zachrypniętym, powiedział:

- Mięsa – a zaraz też dodał: - I kartofli.

„Dzień dobry” musiało nam gdzieś umknąć.

Siedział, żarł, jakby od małego tylko kaszę widział. Ani się słowem nie odezwał, dopóki nie skończył. A jak już się napchał, podniósł się i podszedł do nas, siedzących przy drzwiach, i zadał pytanie na które czekaliśmy.

- Którędy do Lasu?

Jak już wam wspomniałem, Las rósł zaraz za osadą. Krożuch łyknał piwa, a ja rzekłem:

- Miniecie ten niepozorny zagajnik za osadą, panie, i za trzy dni drogi spytajcie w zamku o dalsze instrukcje. Lecz nie tak łatwo trafić do tego Lasu – dodałem. – Strasznie go drzewa zasłaniają.

Wielkolud, o dziwo, nie dał się zbić z tropu.

- Wiem, gdzie to jest – pochwalił się. – Ja szukam duchów i potworów, co w nim mieszkają! Którędy do nich?

- A po cóż ci one, dobry człowieku... co chcesz z nimi zrobić?

Nachylił się wtedy, marszcząc swą poznaczoną wstęgami tatuaży, miedzianą twarz we wściekłym grymasie, w czarnych oczach zabłysło coś nieprzyjemnego, i wysapał, zęby szczerząc:

- Zabić... je... wszystkie!

- Wszystkie...? – zerknąłem na Krożucha, który aż zakrztusił się piwem. – Wszystkie, co do jednego? Nie wiem, czy dacie rady, panie...

- Dam radę każdemu – zahuczała góra mięsa w skórzanych portkach.

- I tak je wszystkie chcecie... no, tego...

- Zabić. Zlikwidować.

- Ale tak wszystkie?

- Unicestwić! – ryknął, aż mu kolczyk w nosie podskoczył. – Prawda to, że wystarczy zejść z Traktu, a same mnie odnajdą?

- No... - zawahałem się. Krożuch gapił się to na niego, to na mnie, z otwartymi ustami i przestachem w oczach. – Niby tak. Jak dotąd, znaczy się, zawsze się zjawiały... wystarczyło ino z traktu zejść i w Las się zagłębić. Ale naprawdę chcecie samotnie im czoła stawiać? Już niejeden próbował...

Odpowiedziała mi czysta wściekłość i pewność siebie twarda jak pierogi mojej starej.

- Nic nie umknie memu ostrzu – zawarczał przybysz. – Ja pokonałem smoka z Dillmeln, ja zająłem się splugawionym bractwem Księżyca i opatem Deckettem, ja rozgromiłem zbójczą bandę Gilmeliona z Przełęczu Psa. Z kości wrogów, których zabiłem, można zbudować drogę stąd do lasów Malionu, a ich czaszkami wybrukować wszystkie zaułki w stolicy. Należą do mnie połówki czterech królestw i trzy księżniczki! Jestem – tutaj rzeczywiście się przedstawił, ale już mi z pamięci dawno wyleciało, jakie to było miano – pogromca i egzekutor, śmierć i zniszczenie moich

wrogów, którzy drżą na dźwięk mego imienia! Jestem niepokonany i oczyszczę ten Las z wszelkiego plugastwa! A przede wszystkim, zamierzam zdobyć Lustro!

Słuchaliśmy z Krozuchem tej zgrabnej przemowy nieco osłupiali, i nawet się nie odzywaliśmy. Tak, Lustro. Jeszcze jedna specyficzna atrakcja turystyczna. Ale nie taka jak inna, o nie. Prądy gościńca, oprócz awanturniczego płotkostwa i łotrzykowego tatałajstwa, przynosiły czasem ze sobą i większe ryby. Te bolenie, te szczupaki wśród cwaniaków grubszego robaczka próbowały schwycić. Tacy zjawiali się tutaj, by zdobyć Lustro – mityczny artefakt rzeźbiony w górkim kryształ niebywalej czystości, strzeżony jakoby w głębi Lasu przez jakiegoś demonicznego kajaniarza szczującego wszystkich piekielnymi ogarami o płonących ślepiach. A może o głowach orłów. Na co by takiemu dandysowi było w krzakach siedzieć i mebli pilnować, tego nikt nie dopytywał; liczyła się tylko cudowna, osławiona plotką i balladą właściwość tego pożądanego lusterka – otóż kto postawiłby przed nim cały swój majątek, mógłby raz w szkło niczym w taflę wody sięgnąć i wyjąć z niego to, co się w nim odbija – czyli krócej mówiąc dobra swoje podwoić. Tedy po Lustro przybywały jedynie największe chwaty, dla których ryzyko spotkania z piekielnym hyclem warte było podjęcia; innymi słowy – tacy z dużym majątkiem. I oczywiście większość z nich była na tyle chciwa, że cały swój depozyt od razu wiozła ze sobą. Zapewne planowali powiększyć o niego to, co już spoczywało w sadybie demona, i dopiero potem przejrzeć się w kryształ.

I to również nam było na rękę.

Wielki Sławny Wojownik, jak mu tam było, odetchnął głęboko, po czym odwrócił się i począł w stronę schodów prowadzących do pokoi na piętrze. Po drodze rzucił jeszcze niedbale:

- Idę odpocząć, a wieczorem wyruszę uwolnić was od zła czającego się w tym Lesie.

I bogactw, które w nim marnieją!

Niech mnie diabli, pomyślałem. Niech mnie demony. Chwilę jeszcze siedzieliśmy w milczeniu, patrząc tępo na schody, po których przed momentem wchodził nasz nowy dobroczyńca. Czy on rzeczywiście powiedział to wszystko? Mówił poważnie? Spojrzałem na Krozucha, potem na szynkarza, ale miny obaj mieli nietęgę. Poza nami nie było tu w tej chwili nikogo.

Ja pierwszy ocknąłem się z zamyślenia, w jaki wprawiły nas słowa tego zabijaki.

- Krozuch – rzekłem zdecydowanym głosem – leć po chłopaków. Jest kłopot.

Siedzieliśmy już przy piątym kuflu, i nic. Ośmiu chłopów się zebrało, co by coś wymyślić – i nic. Miny ponure, humory parszywe, nawet piwo nie smakowało. Bo też tylko jedno rozwiązanie się wszystkim nasuwało, a było to rozwiązanie nie do końca przyjemne.

Dał się słyszeć łomot kroków i nasz Wielki Wojownik zszedł z piętra. Towarzyszył mu miecz tak ogromny, że właściwie trudno było określić, kto tu kogo trzyma.

- Nie bójcie się – rzekł, widząc nasze zafrasowane oblicza. – Powrócę o świcie i zwrócę wam wolność.

- No właśnie – mruknął szynkarz, niemal niesłyszalnie.

- Ciemno się zaraz zrobi... - spróbowałem.

- Ciemność mi nie straszna – odpowiedział Wojownik, i to powiedziawszy, wyszedł. Rymarz Kolnik z jękiem ukrył twarz w dłoniach, a Ryżło, stary młynarz, mruknął tylko:

- Diabli nadali.

Zanim jednak zdołał bardziej przybliżyć nam swój pogląd na to, skąd przybył nasz wybawca, dał się słyszeć zachrypnięty, lecz wesoły głos Witroczego, siedzącego na ławie przed karczmą.

Do Lasu wam śpieszno,
Do Lasu wam droga,
A tam monstrów osiem,

Po osiemkroć trwoga!

Przybysz zatrzymał się, słysząc te słowa, i obrócił w stronę starca swoją łysą głowę na karku szerokim jak biodra naszej miłościwej królowej.

- Nie lękaj się, dobry człowieku – oznajmił.
- Powrócę tu w chwale i przyniosę wam pokój. Osada wasza będzie mogła żyć jak dawniej, bez strachu, a ścierwo potworów użyżni wasze pola.

Tak rzekł i odczłapał ku gościńcowi, który zaraz za wsią zniknął w mroku Lasu. A Witrocy, wciąż uśmiechając się szeroko jak każdy, kto już nie przejmuje się zbytnio światem i jego problemami, dokończył radośnie:

Strachu w was nie ma,
W sercu duch mężny,
Lecz jednak są żeście
Dureń potężny!

- A niech sobie ten pokój w rzyć wsadzi! - dodał ze złością Ryżło.

- To co robimy? – zapytał Piołun, nasz medyk, próbując mocniej chwycić kufel trzęsącymi się ze starości dłońmi.

- A co nam pozostało? – pytanie moje było arcy-retoryczne. – Mus nam za nim iść w Las i sprawę, jak zwykliśmy, zakończyć.

- Sami? – zza lady odezwał się szynkarz, zakaszlał suchotnie. – Przeciw niemu? Rady nie damy.

- Wielki jest jak góra – potwierdził z troską w krótkowzrocznych już oczach Kolnik.

- A kogo mamy o pomoc poprosić! – rozeźliłem się. Dorosłe chłopcy, a jęczą jak baby. Zazgrzytałbym zębami, gdybym jeszcze miał ich na tyle, by móc zgrzytać. – Młodzi do miast powyjeżdżali, a zresztą i tak by pewnie spartaczyli. Co mamy rady nie dać, ośmiu nas jest na jego jednego!

- A on jeden jak ośmiu nas. I osiem razy młodszy!

- To i osiem razy głupszy! A ręce ma tylko

dwie. Musimy przynajmniej spróbować - powiedziałem już nieco spokojniej. - Pomyślcie, co się stanie, jeśli ten kiep rozpowie, że tu u nas nie ma żadnych straszydeł, że niby to już wszystkie przed nim poucikały! Myślicie, że ludzie na grzyby zaczną tu przyjeżdżać?

- Słusznie gada! - orzekł stary Korzeń, co kiedyś był drwalem. - Sam bym go prawą ręką załatwił, gdybym jeszcze ją miał!

- Co?! - zagadał Witlec, na słuchu słabujący.

- No – podjąłem. - Tedy razem nam za nim iść trzeba, kupą wszyscy, żeby radę dać. I dać musimy za pierwszą razą, bo inaczej to nam się tu wszystko zacznie pieprzyć, do czorta.

- Nu, ale chyba nie teraz? - spytał Ryżło. - Dyc ćma zaraz, chłód przyjdzie, a mnie w krzyżach łupie!

- A kiedy, jak nie teraz? - Krozuch, jako były skryba we dworze, jak zwykle był najbardziej rzeczowy. - Ćma, to i łącniej gdzie wlezie i go poharata, a nam zostanie ino go dobić. Las znamy, a po ciemnicy to i on nas nie pozna, i jego łatwiej podejść będzie.

- No, racja w tym jest... - zgodziłem się.

- Trzeba myśleć, tak zawsze mówił stary hrabia, gdy we dworze byłem – w głosie Krozucha dała się nagle słyszeć nutka nostalgii. - Podejść wrogów. Zasadzić się, wybrać moment ataku. To się nazywa... stara tegia, mówił, czy jakoś tam. Znaczy się, stary, dobry i sprawdzony sposób...

- Tedy nic nam tu dalej po próżnicy siedzieć – rzekłem i wstałem. Wstali i oni, stękając i łapiąc się za krzyże. - Lećcie do chałup, chłopcy, i bierzcie niezabędne utensylia. Ino gibko! I wnet na skraju wsi się obaczmy!

Ciemnieć już zaczynała, gdyśmy się przy opłotkach spotkali. Szynkarz zabrał dębową łagę, którą na co dzień posługiwał się w celu utrzymania porządku w swoim przybytku; Piołun długi i cienki, ale mocny i ostry jak cholera brzeszczot, którym zdarzało mu się już nieraz amputować komuś to czy owo. Kolnik

wziął widły, Witlec dzierżył cep; Korzeń w swej jedynej ręce trzymał siekierę. Krożuch przykuśtykał z trzema pochodniami, z których jedna już płonęła. Ryżło przyniósł łańcuch od krów. Na twarzach zebranych malowała się determinacja.

- Piknie – rzekłem, popluwszy w dłoń i zacisnąwszy je na trzonku od łopaty. - Chodźmy tedy, o przyszłość naszą i wsi naszej zadbać.

I poszliśmy przez pole ku ciemnej ścianie Lasu, z dala od królewskiego traktu się trzymając, nam tylko znane ścieżyny wybierając. Tedy do Rozstaju dotarliśmy dużo prędzej niż ów zagraniczny pogromca zła. Trakt wiódł dalej, skręcając nieco na zachód, biegnąc właściwie wzdłuż rubieży Lasu. Mocno na wschód odbijała zaś pozarastana już, węższa, zaniedbana droga. Im dalej w Las biegła, tym bardziej zwężała się i zanikała pod zielonym kobiercem. Nie dziwota, toć od lat nikt już tędy nie jeździł. Drewniana tabliczka, umocowana na pociemniałym ze starości palu,

wskazywała tylko jeden kierunek.

- Tu się rozdzielim – rzekłem. - Ryżło, Piołun i Krożuch, ukryjcie się w krzakach i czekajcie na niego. Idźcie potem za nim, miejcie na niego baczenie, ale tak, co by was nie nakrył. My rozstawimy się wzdłuż szlaku, aż do Pieczary, bo pewnikiem tam najsamprzód polezie. I w dogodnym momencie razem uderzymy.

- Będzie z tego kłopot – odezwał się Kolnik, wspierając się o widły. - Oj, będzie, bo coś mi się widzi, że w końcu trafiła kosa na kamień!

Oczywiście, przez kosę rozumiał nas.

- Ja to miano jużem gdzieś słyszał – podjął Piołun, celując we mnie palcem. - Już mi się o uszy obilo, i wierzajcie mi, chłopcy, że nie w karczemnych żartach!

- Co?! - nie dosłyszał Witlec.

- Zawrzyjcie no jadaczki, druhowie, bo sami sobie jeno stracha napędzacie! - uspokoiłem ich. - Zaro się okaże, czy ten zuch taki mocny, jakim go malują! A nynie we krzaki wam się chować, a nam uchodzić, bo nas tu najdzie



lada chwila! Krozuch, gaś pochodnię!

Ledwośmy w gęstwinę zapadali, a już zadzwoniły metalowe uprząże i zza zakrętu wybiegł Wojownik. Szybki był, cholera jedna, ani się na pozycje rozejść czasu nam nie stało. Tamten zaś do Rozstaju doszedł, na znak popatrzał, a potem wpierw w lewo, zaś w prawo głęę obrócił. I powiem wam, choć widzieć nas nie mógł, bośmy przeca w zaroślach się kryli, to jednak dreszcz zimny, gdy ku nam spojrzał, po plecach mi przebiegł, co by mnie sama Morowa Panna po łędźwiach trupim palcem zmacała. Tak mu się te ślipia błyszczały jakby bestya jaka się na nas lampiła, nie człowiek. Czasu więcej nie tracąc, skoczył chyżo w Las zarośniętą ścieżyną.

- Prędko! - krzyknąłem. - Zdybamy go przy Wieżycy!

Znowu krótszą drogę znając, szybciej na miejsce dotarliśmy. Od zarośniętego szlaku odchodziła tu kolejna dróżka, wiodąca ku szczytowi niewielkiego wzniesienia. A na wzniesieniu stała ruina Wieżycy – starej wieży obserwacyjnej, ongiś mocnej i strzelistej, postawionej tu nie wiadomo przez którego króla. Teraz stała jeszcze jeno dolna, murowana połowa, a po górnej zostały jedynie kikuty belek i drzewce połamane. W środku też wszystko się zapadło i chwastem porośło, ale pewne to było jak komary w lecie, że każdy z drogi zejdzie i chwil tu kilka zmitręży.

Nasz dryblas też dał się skusić. Zza skalnego załomu widzieliśmy, jak lekko wbiega na wzniesienie, nawet się hultaj nie zasapał, i zaczyna czujnie okrążyć ruinę.

- Myślicie, wlezie do środka? - zapytał szeptem Korzeń. - To może mu się co na łeb zwali?

- Może mu w tym pomożemy? - podjął szynkarz.

- Co?!

- Cicho! - zgasilem ich. - Milczcie, bo nas wysłyszeli!

Wielki Wojownik rzeczywiście zbliżył do wejścia do rudery, sypiącej się dziury w murze bez śladu po wrotach, które dawno już

przysłużyły się kilku pokoleniom korników. Oprócz paru luźnych kamieni, w poprzek wejścia sterczała gruba belka, mocno przez czas osadzona w miękkiej ziemi i zaroślach. On jednak, zajrzawszy do środka, ujął belkę jedną dłonią, szarpnął, i bez widocznego frasunku wyrwał ją i odrzucił w dół zbocza, krzycząc przy tym „huu-haa!”, ale chyba tylko dla zasady, po czym wlażł do środka.

- Do kroćset! - syknął Kolnik. - Czy ja dobrze widziałem? Co on żre, że ma tyle krzepy?

- Odrzucił lagę jak zaloty naszej baronówny – skwitował Korzeń, a ja, przywoławszy w pamięci obraz latorośli naszego władcy, nie mogłem się z nim nie zgodzić. - Szybko i bez ambarasu.

- Piekło i szatani, napatoczył nam się kiep jeden! - zakwękał szynkarz, i zaraz potem się rozkaszał.

- Tedy może i rację macie – powiedziałem. - Może on i za duży chwast dla nas? Może lepiej by spróbować się z nim dogadać, co? Jak człek rozsądny z... drugim człekiem.

- Jużci! Ale co mu rzeknąć?

- Na, do rozsądku by mu przemówić. Chodźcie, spróbujemy.

Wyszliśmy zza głazów i do ruiny doszliśmy akurat w momencie, gdy siłacz wyłonił się z jej wnętrza, oczywiście nic tam nie znalazłszy.

- Hola, staruszkowie! – zawołał ponuro na nasz widok. - Co tu przy zmroku robicie? Z potworami walczyć przyszlście?

- Srogi panie – zajęczałem, postanowiwszy wziąć go sposobem – nynie jeszcze czas, byście zawrócili! Żał nam was, krzywdy waszej nie kcmemy, tedy porzućcie ten Las, jak wam radzim!

- Niejeden tu już próbował – podjął Kolnik, garbiąc się, by być bardziej wiarygodnym. - I niejeden już pod sosenką leży, a kośćmi jego wilcy się pożywiają! Nikt jeszcze onym potworom rady nie dał, przeto i wy ubić się w gęstwie nie dajcie, życia nie zmarnujcie!

- Wracajcie do domów – odrzekł głosem nie znającym trwogi – wnuki piastować, nim co

was tu na strzępy rozszarpie. Mnie nikt jeszcze rady nie dał, i nieprędko się taki gdzieś znajdzie.

- Zrozumcież, człowieku – trochę się tymi wnukami poirytowałem – że od pewnej śmierci was odwodzimy! Chodźcie z nami z powrotem, póki jeszcze czas, bo nic was tu dobrego nie czeka.

- Z drogi – mruknął, i ruszywszy naprzód, odrzucił mnie ramieniem. - Sami wracajcie, ale prędko, bo ja was niańczyć nie będę!

Cisza zapadła, przerywana jedynie jego ciężkimi krokami. A we mnie złość się zaczęła gotować i aż trząść się począłem. Mnie będziesz trącał?, pomyślałem. Ty kiejpie chędożony, obezjajcu jeden?! Zmiana planów, rzekłem sobie.

- Tedy baczenie miejcie – krzyknąłem w ślad za nim – co by na stary żalnik wedle drogi nie trafić! Tamoj pewnie siedzą wapiersze a inne straszydła, w wygodnych mogiłach się moszczą, stare kości pogryzają! Zaro miesiącek pełną gębą zaświeci, tedy harcować wyleżą i biada wam, skoro was postrzegą!

Zatrzymał się na moment, wnet jednak bez słowa dalej ruszył, i po chwili znikł między drzewami.

- Myślicie, złapał zanętę? - zapytał po chwili szynkarz. - Na żalnik polezie?

Uśmiechnąłem się paskudnie, mrużąc oczy za niewidocznym już pogromcą.

- Łeb sobie dam uciąć i do środka naszczać, że już tam idzie. Potworów swoich i ich złota szukać. Aleichnieznajdzie, znajdzie ino nas!

- A jak już nas znajdzie, to co zrobimy? - w głosie Korzenia dała się słyszeć nutka niepewności.

- Wtedy – odpowiedziałem, uśmiechając się jeszcze szerzej – zastosujemy ową tegię, co o niej Krozuch wspominał. Sposób, znaczy.

- Co?!

- Jakiż to sposób?

Splunąłem na ziemię, nos rękawem otarłem.

- Kupą na niego i walić czym popadnie.

Ćma już była zupełna, kiedyśmy niedługo potem na żalnik dotarli. W pobliskich bagnach rechotały głośno żaby, w gałęziach pohukiwały sowy, czasem jaki gacek w świetle księżycy przefrunął. Łysy oświeślał tym swym trupim blaskiem całą okolicę, wyławiając z mroku nocy potężne drzewa, skryte w wysokich trawach mogiły, omszałe nagrobki, okaleczone przez wiatry i deszcze pomniki, zarośnięte zielskiem kurhany. Tu i ówdzie nawet biała czaszka zęby szczyrzyła albo jakie stare żelastwo rdzewiało. Było to opuszczone miejsce równie stare jak Wieżyca zapewne, a może nawet i więcej lat sobie liczyło. Wszystko było w tej zimnej poświacie srebrnobiałe, nienaturalne jakby, a w cieniach zdawały się czaić różne okropieństwa. Potwory, pomyślałem, monstra plugawe. W takim miejscu jak to musiały być. I były. Ale ostatniego martwca ubili my dobre dziesięć lat nazad, bo turystów kąsał, i złą opinię nam sprawiał.

Od bagien, tuż przy ziemi, zaczęła nadpełzać chłodna mgła.

Przyciągał żalnik awanturników jak płomień świecy nocne motyle, tedy zadbalim, by mieć z tego jaki profit. Nakopaliśmy wilczych dołów a pułapek, także iście nietoperzych skrzydeł trza by było, żeby bez szwanku się przedostać z jednego końca na drugi.

- Niech tu ino wlezie – sarkałem, gdyśmy przekraczali sypiący się murek otaczający nekropolię. - Niech tu przyjdzie, kulasy połamie, to go wtedy poszturcham i szacunku nauczę!

Rozbiegliśmy się między groby; każdy wiedział, jak stąpać i za czym się schować, by znaleźć sobie bezpieczną kryjówkę. Czekaliśmy więc, słuchając odgłosów nocy, wypatrując ze wszech stron nadejścia tego, jak mu tam znowu było, chyba sobie nie przypominę. A ten znów pojawił się niespodziewanie: patrzyłem uważnie ku bramie i nic żem nie widział; spojrząłem znowu, akurat miesiącek cały zza chmury

wyjrzał, a on już tam stał, z nagim mieczem w ręku, jakby go kto z góry za łeb chwycił i tam przestawił. Żadna gałązka nie trzasnęła pod jego butem, stara brama nie zgrzytnęła zawiasem, ni trawa nie zaszeleściła. No, bramy to tu już dawno nie było, zgoda, ale kto to widział poruszać się tak cicho? Byłem zdziwiony, lecz zaraz potem zdziwiłem się jeszcze bardziej. W bladym świetle zauważyłem, że mu ze łba coś zwisa i na ramiona opada. Z początku nie mogłem się dopatrzyć, wnet jednak przyszło zrozumienie... Do stu fur beczek zgnilej kapusty, zaśmiałem się w duchu, człek zdąży do cna posiwieć, a i tak go życie czymś jeszcze zaskoczy.

Wyszedłem zza nagrobka z nieczytelną już inskrypcją, za którym to się chowałem, i stanąłem twarzą w twarz z uciążliwym przybyszem. Spojrzał na mnie jak na wcielonego księcia ciemności, a ja czułem, że dłonie zaciśnięte na trzonku łopaty pocą mi się niemiłosiernie.

- Nie słuchacie dobrych rad, panie – krzyknąłem mimo to hardo. - Ostrzegałem was przed tym miejscem! I do tego coś wam się do głacy przyczepiło.

Nie odpowiedział. Miecz uniósł, na boki ostrożnie zerkał, ale milczał.

- Lubicie czuć wiatr we włosach, gdy mieczem młócicie? - zaśmiałem się. - Czy to może dlatego, że łysi gorzej w balladach wypadają? Myślicie, że tu się po krzakach publika chowa, żeście się tak wystroili?

Wciąż się nie odzywał, ale zły już był, na odległość to czułem. Ślipia mu jak latarenki błyskały.

- Nie chcecie gadać, wasza to sprawa. Ale ostatnią dam wam radę – rzekłem, wbijając mocno łopatę w miękką ziemię. - Chcecie łeb cały unieść, i tą śmieszoną peruczkę na nim, to powtarzam wam raz jeszcze, odejdźcie stąd teraz i nie wracajcie, w spokoju nas ostawcie, to się jeszcze w zgodzie rozstaniemy.

Olbrzym warknął przeciągle i zgarbił się lekko, jakby się do skoku gotował. Choć

ciemno przecież było, mnie się zdało, że widziałem wściekły grymas na jego twarzy, że błysnęły w mroku zębiska obnażone.

- Dalej nie przejdziecie! - krzyknąłem, mocniej łopatę ściskając, gotów unieść ją jak najprędzej.

- To nie peruczka – wysapał w końcu przybysz. - To element etosu!

I ku mnie skoczył.

Co to był za skok! Musiał się bydlak jakichś bitewnych dekoltów przed momentem opić, bo poleciał jakby go kto z katapulty wyciepl. Wysoko, ku gałęziom drzew niemal, i na dwadzieścia kroków co najmniej, prosto we mnie celując. Jak żyję czegoś takiego nie widziałem, ale niewiele myśląc, zasłoniłem się łopatą. Pewnie się tego po mnie nie spodziewał, bo gdy z szumem na mnie zleciał, zdążył się jeszcze mieczem obronić, ale źle wylądował i obaj runęliśmy na ziemię, tocząc się w różnych kierunkach. Podniosłem się szybko, ale on już był na nogach i już biegł na mnie, żelastwo swe unosząc. Ale nie dobiegł, a przynajmniej takem myślał, że nie dobiegnie. Trzasnęło i ziemia mu spod nóg uciekła – był to jeden z wykopanych przez nas wilczych dołów. Już miałem nadzieję, że wleci do niego jak należy, ale on rękami zdążył jeszcze uczepić się krawędzi i tak mocno na nich wyciągnąć, że aż ponad grunt wyskoczył i anim się obejrzał, jak znów na mnie leciał. Uskoczyłem tedy za wielki dąb, który miałem za plecami, i odbiegłem na odległość końca jego konarów. Wielki Wojownik był tuż za mną, lecz nadział się na kolejną pułapkę – pętlę, która powinna zacisnąć się wokół jego kostki i zawiesić go na gałęzi łbem w dół jak dziczyznę do sprawienia. No i owszem, zawiesiła, ale mgnienie oka nie trwało, jak się dryblas zgiął wpół, mieczem ciął i już znowu na ziemi stał. Jasna cholera, pomyślałem, on jest nienormalny! Obrócił się ku mnie, blade światło załśniło na srebrzystej klindze; bida będzie, przez łeb mnie przeszło, rację miał Kolnik, kiedy mówił o kłopotach. Niechybnie mnie ten wariat usiecie. Prawda, że na

załniku, to do grobu niedaleko, ale marna to pociecha, oj marna...

Nie zdążyłem się jednak nawet takich myśli powstydzić, gdy wokół nas wyrosły sylwetki moich druhów. Zapłonęła pochodnia, zaraz potem druga. Ciepły blask oświetlił otaczający nas krąg postaci. Postaci złych, dzierżących broń. I gotowych, by jej użyć.

- Na – uśmiechnąłem się paskudnie. - Tedy masz, zbój, czego szukałeś.

I sposobem, o którym już wam wcześniej wspomniałem, go potraktowaliśmy.

Gdyśmy się wreszcie z powrotem do wsi dowlekli, pierwsze kury już piał. Poturbował nas nielicho, gamracki syn jeden, bronił się i wił jak bies, gdy mu kąpielą z wody święconej pogrozić. A kiedyśmy go w końcu zmoгли, długi czas nam zszedł na oddechu złapanie. I sklecenie takich sanek dla biednego Ryżły, któremu coś w krzyżu obrzydliwie łupnęło w czasie tego rozgardiaszu, skutkiem czego tymczasowo chodzić nie mógł. Sińce, guzy i stłuczenia, obite mordy, zadrapania, złamane nosy, rany mniejsze i większe oraz bóle im towarzyszące szybko jednak poszły w zapomnienie, gdyśmy dobrali się wreszcie do sakw, toreb i juków, które cały ten Wielki Wojownik przytaszczył ze sobą do wsi naszej. Oj, było tego, powiadam, w cholerę i ciut jeszcze. Bronie różne, kunsztownie wykonane, drogie kamienie, biżuteria, złoty hełm z takimi śmiesznymi skrzydełkami, monety i kruszce przeróżne, sobole futra, ozdoby, bogactw dostatek. Zaiste, wiele było radości, i parę ładnych lat dostatniego, spokojnego trwania przed nami. Całkiem nieźle dało się wyżyć z tej całej turystyki, pomyślałem. Tym bardziej, że ziemia przecież wokół nieurodzajna była...

A kiedy tak grzebałem w niewielkim kuferku z czarnego drewna, w którym pełno było złotych monet, próbowałem sobie raz jeszcze przypomnieć miano tego całego mistrza miecza i topora, któren to był do nas przybył. Cohan, Coban... jakoś tak.

Barbarzyńca, w każdym razie.

Nad milczącym, ciemnym Lasem powoli wstawał nowy dzień.

Cisza

Autor: Triss

18+

BESTSELLERY

Cisza zabija we mnie człowieka. Lodowate zimno kafelków pieści moje stopy tysiącem drobnych igiełek przyjemnego bólu. Przenika mnie aż po końce palców, draży moje ciało, wyciąga ze mnie emocje, ulatuje z przyspieszonym oddechem. W zachlapanym lustrze widzę swoją twarz – całą kobiecość zawartą w zielonym pyłku pokrywającym moje powieki, w czarnym tuszu grubą warstwą okrywającym długie rzęsy. W ostrym świetle jarzeniówki moje ciało jest groteskowo białe – jak na śniegu widać na nim wszelkie niedoskonałości – drobne sińce, pieprzyki, żyłki. Czuję na mojej skórze twój badawczy wzrok i w jednej chwili pokrywa mnie gęsia skórka. Nienawidzę, gdy patrzysz na mnie z taką uwagą, jak wygłodniały drapieżnik szacujący swoje szanse na schwycenie ofiary i rozszarpanie jej na strzępy. Zbliżasz się, a twoje miękkie kroki rytmicznie szeleszczą na twardej posadzce. Twój gorący oddech paraliżuje mnie, odbiera mi zdolność ruchu i myślenia. Drżę, kiedy ustami szukasz najczulszych punktów mojej szyi i zwinnym językiem zlizujesz ze mnie cały strach. Nie mogę się ruszyć, pragnę tylko utonąć w twoich objęciach. Proszę cię, abyś zgasił światło, ale nie słuchasz mnie, wdychając mój zapach, zapach pełnego niepokoju oczekiwania i podniecenia. Zamykam oczy, ale jasne światło wciąż brutalnie wdziera się do moich źrenic, po omacku szukam więc wyłącznika. W ciemności wszystko wydaje się być bardziej odległe. Nieśmiało unoszę powieki – przycisk jest w zasięgu ręki, ale i tak nie mogę się ruszyć. A może już mnie to nie obchodzi Twój język, tak miękki i gorący, wolno okrążający mój stwardniały sutek nie znosi odmowy – porusza się zwinnie tak długo, aż nie usłyszysz, jak z moich ust wyrwa się cichy, niesłyszalny niemal jęk, jak mruczę cicho, niepomna świata. Kopniakiem zamykasz drzwi łazienki - w myślach gratuluję ci pomysłu, źle się czuję przy otwartym wejściu, irracjonalny lęk przed intruzem mąci mój

spokój – teraz jednak cała nerwowość, jaka jeszcze we mnie pozostała odpływa w dal, zostawiając mnie sam na sam z tobą. Oddaję się twym silnym dłoniom gładzącym mój brzuch i dziwię się, że jeszcze jesteś w ubraniu – przez głowę zdejmuję ci koszulkę, odpinam pasek. Nie czuję się już tak absurdalnie, teraz nie masz nade mną przewagi – oboje jesteśmy nadzy i bezbronni. Ostrożnie biorę cię do ręki – jesteś twardy i nabrzmiały. Mój dotyk sprawia ci rozkosz, widzę to na twojej twarzy – zmrużone oczy i usta rozciągnięte w najpiękniejszym z uśmiechów mówią mi wszystko o tym, co przeżywasz. Zmysłowo masujesz moje uda, gładkie i blade jak dłonie, którymi sprawiam ci przyjemność. Wzdychasz, a ja wiem, że moje długie palce pianistki doprowadzają cię do szaleństwa. Mam nad tobą władzę i ta myśl podnieca mnie jeszcze bardziej – myśl, że w każdej chwili mogę zrobić z tobą co zechcę. Opierasz mnie o parapet i przywierasz do mnie swoim ciałem – dokładnie czuję zapach twoich perfum – tych samych, które kupiłam ci na urodziny. Twoje długie, czarne włosy delikatnie łaskoczą moją twarz – znowu szukamy się instynktownie, byś mógł zatopić swe wargi w moich. Twoje miękkie usta są idealne, uwielbiam chwycić je swoimi i ssać delikatnie, jak kwiat pełen najśłodsze go nektaru. Rozchyłam nogi i zapraszam cię do mojego gorącego, wilgotnego wnętrza. Pasujemy do siebie idealnie, nasze oddechy stają się jednym, zwarte w miłosnym uścisku ciała wznoszą się i opadają. Nie mogę znaleźć odpowiednich słów, by określić to, co czuję, nawet myśli nie przybywają na moje wezwanie, więc z moich ust po prostu wydobywają się nieartykułowane jęki, a, a, o, ooh. Ściskam twoje biodra nogami, pod pośladkami czuję chłodną obojętność ceramicznego parapetu, ale świat rzeczywisty jest poza mną, liczy się tylko ta chwila; ja, mój krzyk, twoja twardość we mnie. Krzyczysz głośno i nagle wypełniasz mnie całą swą miłością – jest ciepła i lepka. Wypełnia mnie cała, aż sa-

ma nie stanę się miłością, fala gorąca wybucha we mnie ze zdwojoną siłą, przenikając na wskroś od czubków palców po końce delikatnych włosów. Wtulam się w ciebie. Nie chcę, żebyś odchodził, żebyś wyszedł ze mnie. W końcu jednak i tak odpychasz mnie. Ubierasz się i wychodzisz. Zostaję sama. Zostaję sama, a ostre światło jarzeniówki doprowadza mnie do obłądu, wyraźnie widzę, jak to, co mi po sobie zostawiłeś wypływa ze mnie wąską strużką, ciężkimi kroplami opadając na kafelki białe jak śnieg, jak moja skóra, jak twoje nasienie. Odkręcam wodę – lodowata struga obmywa moje dłonie. Ochlapuję twarz i przyglądam się, jak cała moja kobiecość rozmywa się w smugi, przykleja się do moich mokrych dłoni, odchodzi w niebyt. Wkładam ręce między nogi – ich zimno jest kojące, pozbywam się całego gorąca i namiętności, pozbywam się ciebie. Gaszę światło. Słyszę, jak w oddali trzaskają drzwi – wychodzisz. Uważnie wsłuchuję się w ciszę. Wsłuchuję się w brak ciebie, w twoją nieobecność. Nie mogę znieść tej ciszy. I wyję, wyję skowytem zranionego zwierzęcia pozostawionego na pastwę losu. Ciska zabija we mnie człowieka.



Alibi

Autor: Piotr Knasiecki

Nie jestem pierwszy nie będę ostatni
Kochało wielu przede mną a po mnie
Kolejni w uczuć pogrążą się matni
Mniej jeszcze pewnie ode mnie przytomnie

Alibi jednak nie szukam w pośpiechu
I do spowiedzi mi raczej nieśpieszno
Bo to nie grzech był lecz przedsięwzięcie grzechu
I nawet myślą nie byłeś mi grzeszną

I nawet struną co fałszywie dźwięczy
Bo choć zbudzony nie pamiętam treści
Snów których barwny scenariusz mnie dręczył
Wciąż mogę przysiąc że cię nagiej nie śnił



Izolacja

Autor: Rootsrat

Poniedziałek. Wyjątkowo obudziłem się tuż przed budzikiem. Zdążyłem wyłączyć, zanim zaatakował nieznosną melodyjką Zużę, śpiącą obok mnie sprawiedliwym snem kury domowej. Zamrugałem powiekami, starając się zrzucić z nich resztki koszmaru, który dręczył mnie całą noc. ...siedziałem w wielkiej żelaznej klatce, wiszącej na potężnych łańcuchach. Ich końce ginęły gdzieś w mroku wysoko nade mną, wokół panowała ciemność. Wszystko, co widziałem to kraty mojego więzienia. Mimo to zdawałem sobie jakoś podświadomie sprawę, że znajduję się w ogromnej jaskini. Zimnej, wilgotnej i przerażająco pustej. Klatka kołysała się z boku na bok sprawiając, że chwiałem się lekko na nogach. Było tam wystarczająco dużo miejsca, żeby swobodnie stać i zrobić jakieś pięć, sześć kroków w każdą stronę. Pręty klatki były przeraźliwie zimne w dotyku, dłonie natychmiast lekko przymarzały do żelaza. Mimo wyężania wzroku, nic nie było widać. Było również tak cicho, że dało się słyszeć miarowe uderzenia kropel wody gdzieś w oddali. Po chwili zauważyłem, że klatka kołysze się w rytm tego kapania. Nagle jego częstotliwość nasiliła się i klatka zaczęła kołysać się szybciej. Zdawało mi się, że jest też trochę mniejsza niż była. Znowu zaczęło kołysać się szybciej. I szybciej. Straciłem równowagę, upadłem na zimną podłogę i potoczyłem bezwładnie, zatrzymując się na lodowatych prętach. Lód parzył mój policzek, czułem jak przymarzam do żelaza. Czy sufit jest o wiele niżej niż był? Na pewno, przeciwnie ściana jest teraz na wyciągnięcie ręki! Nie tylko coraz mocniej kołysze, ale też klatka kurczy się w zastraszającym tempie! Kapanie zamienia się w szum rzeki, później w huk wodospadu, jest coraz głośniejszy. Kolejne szarpnięcie odrywa mi kawałek twarzy – część zostaje przymrożona do żelaza. Lecę na drugą stronę, tym razem przyklejając się barkiem.

Moje więzienie ciągle się zmniejsza, nie mam już miejsca; Klatka zaczyna miażdżyć moje ciało, lód parzy, wodospad ryczy, a ja czuję że zaczyna brakować mi powietrza. Każdy nerw płonie temperaturą zera absolutnego. Otwieram usta, ale krzyk zamarza w połowie drogi i już tylko oczy nie są pod lodem, nie czuję nic, prócz pierwotnego bólu. Chaos ogarnia świat, nie ma już klatki - spadam rozerwany na kawałki, ale ciągle żywy, zmrożony w bryle lodu. Ryk wodospadu cichnie, jest tylko wrażenie lotu w dół i czarna bezdenna otchłań pode mną...

Poniedziałek. Wyjątkowo obudziłem się tuż przed budzikiem, zdążyłem wyłączyć, zanim zaatakował nieznosną melodyjką, Zużę śpiącą obok sprawiedliwym snem kury domowej. Zamrugałem powiekami, starając się zrzucić z nich resztki koszmaru, który mnie dręczył całą noc. Z cichym westchnięciem wróciłem do rzeczywistości. Moja żona oddychała miarowo, jej pewnie śniły się zakupy w ogromnym markecie i nieograniczona żadnym limitem złota karta kredytowa lub coś podobnego. Blond włosy z fioletowo-czerwonymi pasemkami w kształcie piorunów (bardzo trendy w tym tygodniu!) opadały falą na poduszkę. Na szafce nocnej leżało pudełko z kolorowymi soczewkami do oczu. Wczoraj miała błękitne. Dzisiejszy kolor będzie zależał od tego, co wyczyta w swoich internetowych fashion-newsach. Gdyby napisali tam, że teraz w modzie jest brak oczu, jestem pewien że wyłupałaby je sobie łyżeczką do herbaty i kupiła psa przewodnika.

Zsunąłem się z łóżka, przeciągnąłem i poczłapałem do łazienki. Zanim odkręciłem wodę pod prysznicem, stanąłem przed lustrem i dokładnie obejrzałem swoją twarz. Po nocnej przygodzie nie było śladu. Z lustra patrzył na mnie trochę zmęczony życiem trzydziestolatek o niemal fluorescencyjnie

zielonych oczach (to mój naturalny kolor, którego Zuza zawsze mi zazdrościła... dopóki nie sprawiła sobie swojego tęczowego zestawu) i czarnej czuprynie, gdzieniegdzie przerzedzonej pierwszymi siwymi włosami. Westchnąłem ponownie. To efekt stresu w pracy – jestem starszym administratorem kont w firmie zajmującej się inwestycjami na giełdzie papierów wartościowych. Świat maklerów, akcji i wahań rynku. Świat dużych inwestycji i małych ludzików obracających cudzymi milionami. Świat wymuszonych uśmiechów, zebrań pod krawatem i firmowych imprez w drogich hotelach. A wszystko napędzane przez krwiożerczą maszynę kapitalizmu oraz niekończącą się ludzką chciwość i pragnienie posiadania jeszcze jednego zera więcej przy numerku na koncie. Moja praca polega na zarządzaniu kontami i dbaniu, żeby żaden z klientów nie złamał zasad podatkowych, które narzuciło Her Majesty Revenue And Customs. Wszelki dochód, który klienci czerpią z tych kont, jest zwolniony od podatku od wzbogacenia. Taki prezent od miłośniczki panującej królowej Elżbiety. Oczywiście jeśli ma się pieniądze, które można zainwestować. Co biedniejsi obywatele nie mają szans na zwolnienie od podatku, bo nie mają czego inwestować. Nie sądzę, żeby to królową cokolwiek obchodziło. Nie sądzę, żeby obchodziło ją cokolwiek, poza odpowiednią temperaturą popołudniowej herbatki w ogrodach Pałacu Buckingham.

Przesunąłem otwartą dłoń po powierzchni lustra, zostawiając tłuste smugi. To nic, Zuza zmyje, gdy wstanie. Wszedłem do kabiny prysznicowej i włączyłem wodę. Pozwoliłem, by oblewała moje ciało z góry przez kilka minut, później włączyłem bicz wodny na plecy. Zamruczałem z zadowoleniem. Nie ma to jak luksus nowoczesnych, malutkich mieszkań-klatek, w sięgających nieba smukłych wieżowcach. Czteryście osiemdziesiąt mieszkań na osiemdziesięciu piętrach. Ludzie stłoczeni w tej przestrzeni, za to z szerokim oknem internetu na cały świat.

Dostęp do wszystkiego gwarantowany. Wolność wyboru tak nieograniczona, że staje się więzieniem. Przykuwa do monitora na godziny, dni, tygodnie, miesiące. Każdy znajdzie coś dla siebie. Amatorzy zakupów, sportu, niemieckich filmów schaisse-porno, moda, wiadomości. Kłamane, prawdziwe, z lewej, z prawej, z przodu, od tyłu, oko i ucho – wszyscy jesteśmy gwałceni na różne sposoby przez globalną sieć elektronicznych powiązań międzyludzkich, które tracą jakąkolwiek głębię i wartość. Dotykamy martwych klawiszy, zamiast podać rękę znajomym; wstukujemy numer karty kredytowej, zamiast odebrać resztę od sprzedawcy i powiedzieć "Dziękuję"; bierzemy w usta wielkiego, martwego, elektronicznego kutasa, smakujemy spermę zer i jedynek, dławimy się i wypluwamy codziennie. Stąd te przyklejone każdego ranka niesmaczne uśmiechy w autobusie. Stąd ta znieczulica, brak świadomości i zrozumienia, i wielkie globalne zagubienie. Ludzie poruszają się w ciemności uczuciowej, rozświetlanej jedynie zieloną diodą komputera i bladym światłem wyświetlacza telefonu komórkowego.

Śniadanie zjadłem w pośpiechu, zalewając półtłustym mlekiem miskę płatków śniadaniowych. Smak czekoladowy, z orzeszkami ziemnymi i suszonymi winogronami. Porcja owoców, jedna z pięciu dziennie, zalecanych przez lekarzy. Staramy się z Zuzą zdrowo odżywiać – jemy tylko organiczne produkty w ściśle określonych proporcjach. Nasz lekarz rodzinny wypisał nam odpowiednią dietę na każdy dzień tygodnia. Oboje jesteśmy wegetarianami. Na święta Bożego Narodzenia nie jemy karpia. Jemy zdrowe sojowe paluszki o smaku ryby. Czasem, przed Wigilią, wpuszczamy je do wanny z wodą. Unoszą się na wodzie przez dwa dni, po czym lądują w koszu na odpadki. Żałosna imitacja świątecznej atmosfery.

Sojowe paluszki rybne nie potrafią bezbrinnie otwierać i zamykać pyszczka, kiedy leżą na desce do krojenia. To chyba psuje cały efekt.

Przed wyjściem obudziłem jeszcze Zużę, pocałowałem ją w nos i wybiegłem z mieszkania. Zjechałem windą do garażu w podziemiach i wsiadłem do samochodu. Trzyletnie cacko z podgrzewanymi fotelami, automatyczną skrzynią i wbudowaną nawigacją satelitarną z dokładnością do jednego metra. Spłata kredytu, który zaciągnąłem na ten samochód zajmie nam jeszcze 10 lat, ale warto było. Choćby po to, żeby usłyszeć głęboki bas odpalonego silnika. Muzyka dla moich uszu! Włączyłem radio i wyjechałem z garażu. Droga do pracy zajmuje mi jakieś czterdzieści do pięćdziesięciu minut, zależnie od natężenia ruchu. Zanim zdążyłem wyjechać z wewnętrznej drogi, która prowadziła przez strzeżone tereny kompleksu wieżowców, zaczęły się wiadomości. Odczuwam jakąś chorą przyjemność, słuchając codziennie tej papki. Wiem że to brzmi niedorzecznie, ale informacje o kolejnych zamachach, zawiejach, zawirowaniach politycznych, zamknięciach zakładów pracy, zabójstwach, zabawach gwiazd na lodzie, na parkiecie, na scenie, w kuchni, przed kamerą, przeprowadzonych operacjach wojskowych, przekupionych dygnitarzach, przejętych punktach strategicznych w newralgicznych miejscach stref wojennych, gdzie każdego dnia giną setki ludzi, czego większość z nas nie rejestruje, mimo że liczba zabranych istnień ludzkich zwiększa się każdego dnia wprost proporcjonalnie do kosztów tych wojen liczonych w miliardach dolarów, wszystko to sprawia, że czuję się tak cholernie bezpieczny w moim małym samochodzie, jadąc dwupasmową obwodnicą w kierunku centrum. Z zamyślenia wyrwała mnie syrena samochodu policyjnego, który nadjeżdżał z tyłu. Zjechałem na bok i zwolniłem, pozwalając stróżom narzuconego wszystkim prawa przejechać obok i popędzić na miejsce

zbrodni – gdziekolwiek jechali i kogokolwiek ścigali.

Po około dziesięciu minutach zjechałem z obwodnicy. Miasto było zatłoczone jak zwykle o tak wczesnej porze, kiedy ludzie spieszą do pracy nie zważając na innych. Jechałem powoli, co chwila przystając. Setki autobusów, tysiące samochodów, dziesiątki tysięcy litrów paliwa, miliony przekleństw. Co się dzisiaj dzieje? Jest gorzej niż zazwyczaj. To jak reakcja łańcuchowa – samochód przed tobą się zatrzymuje, więc i ty się zatrzymujesz (cały w nerwach, bo musisz znowu czekać zanim przejedziesz kolejne kilka metrów). Samochód za tobą też się zatrzymuje, a kierowca jest jeszcze bardziej zły, i tak dalej, aż do punktu zapalnego - ostatniego samochodu w kolejce, z którego wysiada zasuszone staruszka, kipiąca złością jak mleko zostawione zbyt długo na dużym ogniu. Mleczna piana bulgocze na ustach, jej oczy płoną nienawiścią do wszystkiego wokół, cała aż się trzęsie. To cud, że jej ciało nie rozpada się na kawałki. Musiała widzieć co najmniej osiemdziesiąt wiosen w swoim życiu, ale nie ma w niej nic z wiekowej mądrości. Jest za to wiekowa frustracja, nagromadzona przez te wszystkie lata. I nagle kobieta krzyczy głosem tak wielkim, że z wysokiego biurowca wznoszącego się obok sypią się wszystkie szyby. Deszcz szklanych odłamków spada na chodnik, raniąc przechodzących ludzi. Leje się krew. Krzyk kobiety jest tak mocny, że niektórym pękają bębny w uszach i cieknie z nich szarawa gęsta ciecz, wiele osób kładzie się na ziemi i zaczyna rzucać jak w padaczkę. Wszyscy wokół przestają kontrolować swe odruchy. Ludzie wysiadają z samochodów i wymiotują albo klękają na asfalcie i zakrywają głowy rękoma, albo tłuką pięściami w szyby i lusterka, albo biegną na oślep, wpadając na siebie. Przewracają się latarnie i słupy telefoniczne, a światła ruchu drogowego wariują i wpadają w czerwono-żółto-zielony stroboskopowy chaos. Staruszka krzyczy, ziemia drży i pęka od tego krzyku,

ludzie zsuwają się w szczelinę, która powiększa się i powiększa. Zapadają się w nią budynki, ulice, samochody, całe miasto znika w bezdennej czeluści, która zasysa z siłą odkurzacza najnowszej generacji. Planeta Ziemia zapada się w sobie i znika. Zapadają się gwiazdy, planety, całe galaktyki giną w tej czarnej dziurze. Implozja doskonała, anty-wielki-wybuch. Wszystko znika, jest już tylko wielka, niekończąca się przezroczystość, totalna pustka, spróbujcie to sobie wyobrazić, nie ma n i c, tylko nieustający dźwięk klaksonu...

...kierowca za mną trąbił i trąbił, aż w końcu wyrwałem się z dziwnego transu, który mnie opanował. Oczywiście nie było żadnej czarnej dziury, deszczu szklanych odłamków ani krzyczącej staruszki, trochę poniosła mnie wyobraźnia. Światło przede mną znów zmieniło się na czerwone, widziałem w lusterku jak facet w samochodzie z tyłu wściekał się, wygrażał mi pięścią i przewracał oczami – pewnie spóźni się do pracy. Zamrugałem światłami awaryjnymi i przeprasząco podniosłem rękę. Zapaliło się zielone i ruszyłem wreszcie. Ten żółwi pochód do niczego nie prowadził. Włączyłem nawigację, wstukałem kod pocztowy mojej firmy i skręciłem w boczne uliczki, licząc na to, że uda mi się nadrobić trochę czasu.

Do pracy dotarłem z półgodzinnym spóźnieniem. Wbiegłem do budynku i machnąłem strażnikowi identyfikatorem przed nosem. Nie czekając na windę ruszyłem po schodach na piąte piętro, gdzie mieściło się moje biuro. Znajdowało się ono na końcu dość dużego i przestronnego pomieszczenia. Wzdłuż okien dwoma równymi rzędami ciągnęło się około pięćdziesięciu biur z jasnego drewna. Pod przeciwległą ścianą stały drukarki, kopiarki, skanery, niszczarki do papieru oraz kosze na recykling. Żółte na papier, zielone na aluminium i czerwone na plastik. Na końcu znajdowały się wejścia do indywidualnych biur managerów, kierowników i starszych stopniem

urzędników. Całe pomieszczenie było utrzymane w pastelowej, jasnozielonej tonacji, co prawdopodobnie miało wpływać kojąco na pracowników. Światło słoneczne wlewało się przez duże okna wychodzące na pobliski park, położony nad otaczającym centrum miasta kanałem, którym często przepływały barki z turystami zdumionymi przepychem srebrnych stalowo-szklanych biurowców i robiącymi zdjęcie za zdjęciem.

Pozdrowiłem krótkim "Hi" kolegów, z którymi współpracuję, po czym wpadłem do biura szefa. Nick siedział za biurkiem i zawzięcie stukał w klawiaturę komputera. Kiedy wszedłem podniosł na sekundę wzrok i wrócił do klepania w klawisze.

- Dzień dobry – powiedziałem. – Sorry za spóźnienie, straszne korki dziś w mieście. Szyby wylatują z okien. – Dodałem, gdyż szef w ogóle mnie nie słuchał.

- Co? – Powiedział w końcu. – Jakie szyby?

- Nieważne, sorry za spóźnienie.

- W porządku, U. Zrobisz coś dla mnie? Potrzebuję na już raportu. Konta z ujemnym bilansem. Zebranie. Wiesz, comiesięczne statystyki i całe to gówno. - Wzruszyłem ramionami:

- Nie wiem, nigdy nie byłem. Daj mi dziesięć minut, prześlę mailem – powiedziałem i poszedłem do siebie. Zrzuciłem płaszcz na wieszak stojący w kącie i włączyłem komputer. W czasie, gdy startował system, wypakowałem ze skórzanej aktówki laptopa i podłączyłem go do gniazdka w ścianie. Nalałem sobie kubek zimnej wody z dyspensera pomysłowo wbudowanego w biurko i wychyliłem duszkiem. Rozległo się pukanie i przez uchylone drzwi wsadził głowę Adam – jeden z administratorów.

- Cześć U. Idę do kantyny, chcesz coś?

- Kawę, jeśli możesz. Dzięki Adam. – U. Tak nazywali mnie moi angielscy koledzy. Naprawdę mam na imię Euzebiusz. Po angielsku brzmi to jak "Juzibiusz", stad U, które po angielsku wymawia się 'Ju'. Czasem

nazywają mnie też Uzi. Nie mam nic przeciwko żadnemu z tych przezwisk. Euzebiusz wymawiany przez Anglików brzmi strasznie.

Przyjechałem do Anglii ponad osiem lat temu. Szukałem pracy i lepszego życia. W Polsce, gdzie się urodziłem, panowało wtedy okrutne bezrobocie, a każdy kolejny rząd poprzestawał na obietnicach lepszego kraju, mlekiem, miodem i piwem płynącego. Rzesze wyborców dawały się na to nabrać latami. Ja nie. Byłem na wyborach raz w życiu, kiedy ukończyłem osiemnaście lat, od tamtej pory ani razu. Przynajmniej miałem czyste sumienie. Gdyby było na kogo głosować, poleciłbym do urny bez wahania. Nie było. Każdy rząd wiele obiecywał i nigdy tych obietnic nie dotrzymywał. Ludzie później narzekali i złorzeczyli. Sami głosowali! Ja nie. W pewnym momencie miałem dość. Czułem się moralnie i psychicznie zgwałcony. Spakowałem walizkę, rozbiłem świnę-skarbonkę, pożegnałem się z rodzicami, siostrą, dwoma psami i kotem i wsiadłem w autobus. Zamaskowany jako turysta przekroczyłem granice magicznego Zachodu z zamiarem zostania nielegalnym imigrantem. Przez pierwsze kilka lat miałem się różnych prac, od sprzątania toalet do kucharzenia na budowie. Wszystko na czarno. Życie w ciągłym strachu przed policją i Home Officem - urzędem imigracyjnym. Dobrze przynajmniej, że znałem język. Wielu ludzi, których poznałem w ciągu lat tu spędzonych kończyła na bruku, bez możliwości powrotu do kraju, z prostej przyczyny – nie potrafili się porozumieć w najprostszych sprawach.

Później Polska została przyjęta do Unii Europejskiej i wszystko się zmieniło. Praca była legalna, zasiłki i zapomogi były legalne, legalne było także około półtora miliona rodaków, którzy tu przyjechali po zniesieniu wiz. Oraz około milion ujawnionych, nielegalnych jak ja, którzy żyli tu już od jakiegoś czasu. Liczba Polaków mieszkających w Wielkiej Brytanii pozostaje

wielką niewiadomą. Niektóre źródła podają kilkaset tysięcy, niektóre trzy i pół miliona. Szczerze mówiąc mało mnie to obchodzi.

Zalogowałem się do systemu, wygenerowałem i wysłałem raport dla Nicka. Po chwili wrócił Adam z kawą.

- Dzięki, Adam. Co słyszeć?

- W porządku, mam lekkiego kaca po weekendzie. U ciebie?

- Nic nowego, korki w mieście, żona w domu, hipoteka w banku – uśmiechnąłem się.

- Mów mi jeszcze – westchnął Adam. – Dobra, spadam do pracy, mam tony papierów na biurku. Na razie U.

- Cześć. – Zostałem sam. Wstałem zza biurka, podszedłem do okna wychodzącego na resztę biura i zamknąłem żaluzje. Chciałem zostać sam. Dużo myśli kłębiło mi się ostatnio w głowie. Cały czas miałem dziwne wrażenie, że czegoś mi brakuje. Bardzo czegoś pragnąłem, ale nie za bardzo wiedziałem czego. Nie mówiłem Zuzie, nie chciałem zaprzętać jej głowy. Niezbyt często rozmawialiśmy o tym, co nas boli, czego chcemy i dokąd zmierzamy. Mieliliśmy swoje plany i marzenia, ale nie różniły się one zbyt od idealnego modelu rodziny zalecanego przez psychologów. Dwa plus dwa, plus dom z ogrodem w przyzwoitej dzielnicy. Dwa samochody, pies, akwarium z rybkami, w które można się pogapić dla ukojenia nerwów. Spacer w parku po obiedzie, co niedzielę. Wieczorem wiadomości i jakaś cukierkowa romantyczna komedia, żeby wyprać mózg i zasłonić oczy na prawdziwy obraz tego świata... To dziwne, często o tym ostatnio myślałem, takie rzeczy same przychodziły mi do głowy. Czułem się przez to zagubiony, na wszystko zaczynałem spoglądać inaczej. Zaczynałem widzieć brud, który pokrywał wszystko. I ludzi taplających się w tym brudzie, osamotnionych i zagubionych w grząskich piaskach pustyni emocjonalnej dwudziestego pierwszego wieku. Ziemi przyszłości z futurystycznej

wizji, którą sami sobie wyśniliśmy. Stała ona się rzeczywistością tak naturalnie, płynnie i obok nas, że nawet nie zauważyliśmy, kiedy staliśmy się częścią tego przereklamowanego wszędzie snu na jawie.

Po południu wylali Claire. Nikt się tym specjalnie nie przejął poza mną i Adamem. Pewnie dlatego, że nikt oprócz nas jej nie lubił. Claire była karlicą. Mierzyła jakiś metr dwadzieścia i nie grzeszyła urodą. Miała wiecznie przetłuszczone, brązowo-szare włosy i wąsik, który goliła raz w tygodniu, a który odrastał nieubłagane. Claire potrafiła spieprzyć każdą robotę, którą się jej zleciło. Przelać tysiąc funtów na konto klienta? Jasne, tylko że pieniądze kończyły swą elektroniczną drogę na koncie żony, z którą klient akurat brał rozwód. Zamknąć konto nieużywane od dwóch lat? Nie ma sprawy. Oczywiście wpisywała jedną cyfrę źle i zamykała konto klienta, wartego ponad dwa miliony funtów, co owocowało sporą skargą i pieniężną rekompensatą. Zmienić adres? Jak najbardziej, tylko że delikwent nigdy więcej nie otrzymał żadnego listu. To była Claire. Nie sądzę żeby robiła to celowo. Po prostu nie nadawała się do tej pracy, mimo że naprawdę starała się uważać. Takie rzeczy po prostu przydarzały się jej i już. Pech był integralną częścią jej życia i myślę, że przez to wszystko – kim była, jak wyglądała i co robiła – ludzie nie przepadali za nią. Oczywiście nikt nigdy nie powiedział jej tego wprost, ale też nikt nawet nie starał się być sztucznie miły, tą udawaną sympatią biurową, uśmiechem grubymi nićmi przyszytym do uszu, wyuczonymi "Jak się masz?" i "Wszystko ok?", i jeszcze "Jak ci minął weekend?". Pseudo-przyjacielskim poklepywaniem po plecach, przepuszczaniem się w drzwiach do toalety i do windy oraz pustymi rozmowami o telewizyjnych reality shows. Tu pozwolę sobie na małą dygresję: reality shows to perfekcyjny przykład prania mózgów. Dopiero teraz mnie to uderzyło. Pokazać, starannie dobraną pod względem charaktero-psychologicznym (musi być

mieszanka wybuchowa, żeby było ciekawie), grupę obcych sobie ludzi, zamkniętych w jednym domu przez miesiąc. Bez możliwości wyjścia czy kontaktu ze światem. Społeczeństwo będą to oglądać z zapartym tchem, ponieważ jest to o wiele ciekawsze niż ich nudne życie od poniedziałku do poniedziałku, urozmaicone czasem jakąś weekendową zdradą małżeńską. Tyczy się to również wszelkich gazet czy stron internetowych z plotkami o gwiazdach i innych meteorytach showbiznesu. Wszelkie skandale, ciężce chciane i niechciane, śluby zawarte pod wpływem przedawkowania różnego rodzaju używek, wybryki i tragedie znanych osób wypełniają nudną, codzienną przestrzeń szaraczków. Zbyt leniwych i ogłupionych żeby samemu zrobić coś, co urozmaici ich egzystencję. Tym sposobem są pod kontrolą, zbyt słabi, żeby wyrwać się z matni. Wydaje im się, że wypełniając czas rozmowami o kimś, kogo codziennie widzą na ekranie telewizora, sami są interesujący. Pozbawiono ich myślenia, wkładając w mózg knebel uzależnienia od błyszczącego sztucznym światłem życia ludzi, którzy trudnią się głównie byciem sławnymi; sprzedają swoje dni, godziny i minuty, pozwalając innym obserwować się codziennie. Przez to tracą swoje życie, które należy od tej pory do społeczeństwa.

Ale wróćmy do Claire. Tak jak powiedziałem, nikt za bardzo nie przejął się jej zwolnieniem. Ludzie uśmiechali się pod nosem, prawdopodobnie mruczając, że należało się jej. Dziewczyna ze łzami w oczach pozbierała swoje rzeczy z biurka (zdjęcie psa, kilka pluszowych maskotek, figurkę Marge Simpson). Wrzuciła je do szarej, skórzanej torby, narzuciła szary płaszcz, po czym wybiegła z biura. Wszyscy patrzyli. Nikt nie spuścił wzroku. Westchnąłem, spojrzałem na Adama i wyszedłem również. Znalazłem ją po dziesięciu minutach na parterze. Oczywiście miała już suche, tylko żyłki pokrywające białka czerwoną siecią świadczyły o tym, że ryczała

w toalecie. Oddawała właśnie identyfikator strażnikowi, który groźnie łypał na nią. Chciałem coś powiedzieć, ale stałem tylko i patrzyłem. Nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Karlica podniosła wzrok.

- Dzięki U.

- Za co, Claire?

- Za to, że nie byłem sama w biurze, mimo że ty siedziałeś zawsze odizolowany w tym swoim pokoiku. Wiem, że ludzie tam mnie nie lubili, niektórzy chyba nienawidzili. Tylko ty i Adam traktowaliście mnie normalnie. – Widziałem jak łzy znowu zbierają się jej w oczach. – Podziękuj mu też proszę. –

- Trzymaj się, Claire. – Tylko tyle wydusiłem z siebie. Łapa wstydu złapała mnie za gardło i nie pozwalała mówić.

- Ty też U. Powodzenia. – Claire złapała za torbę i wyszła z budynku. Stałem i patrzyłem jak znika za rogiem. Znika z życia firmy, departamentu, znika z życia w ogóle. Wyobraziłem sobie ją jak idzie teraz wąską uliczką prowadzącą do kładki nad pobliska wielopasmówką. Jej myśli krążą wokół faktu, że prawdopodobnie nie znajdzie teraz pracy, że ma kłopoty finansowe, że pożyczka w banku, pies do wykarmienia. Przechodząc nad szosą myśli przez chwilę, żeby rzucić się w dół – jej świat się zawalił, jest do niczego, nigdy nic nie potrafiła zrobić porządnie. Niezależnie od tego gdzie będzie, jej pech zawsze będzie obok, gotowy żeby podłożyć kolejną kłodę pod nogi w najmniej odpowiednim momencie... Ale nie - jej myśli wracają do psa – przecież nie może go zostawić, jest jej całym światem. Dostała go wiele lat temu od rodziców, którzy już odeszli (byliśmy z Adamem na pogrzebie, jako jedyni z pracy, oprócz nas jeszcze jakieś dziesięć osób). Zwierzę jest jej jedynym przyjacielem. Jedynym żywym przyjacielem. Ma jeszcze znajomych w internecie, nad którym siedzi codziennie przez kilka godzin po przyjściu z pracy, wysyłając maile, umawiając się w internetowych chat-roomach na pogawędki przy kawie, którą samotnie pije z białego

kubka w kwiatki. Zamknięta w wynajmowanym jednopokojowym mieszkaniu, szczelnie odgradzona od świata, nieprzyjaznych ludzi i pecha towarzyszącego jej odkąd pamięta. Claire bezpiecznie przechodzi na drugą stronę ulicy i znika pochłonięta przez żywy organizm miasta, wepchnięta w niemy tumult. Kłębowisko ludzi, odciętych od rzeczywistości słuchawkami I-podów w uszach, zmierzających wszędzie i nigdzie jednocześnie, zagubionych w krętych żyłach ulic, chodników, deptaków, kładek, bram, podziemnych przejść, ruchomych schodów i klatek wind. Ludzi udających życie – samotny mnogi tłum w wielkim mieście, w konwulsjach bytu, skonfundowany, bez żadnych konkluzji.

Omph! Z kolejnego dziwnego transu wyrwał mnie cios w plecy – to Nick rąbnął mnie tak, że mi oddech zabrało.

- Co jest U, już tęsknisz za Claire? Szukam cię od pół godziny! – Zabrało mi oddech! Nick kontynuował. – Przykro mi U, to była trudna decyzja, ale z biznesowego punktu widzenia Claire przynosiła straty i jeszcze jej za to płaciliśmy. Nie kalkulowało się to... – Oddech! Nick urwał i patrzył na mnie dziwnie. – Wszystko OK, U? – Nie, kurwa, nic nie jest okay. Już wiedziałem, czego mi brakowało, za czym tak tęskniłem w głębi duszy. P o w i e t r z a ! Brakowało mi głębokiego oddechu, izolacji od tego wszystkiego, od kalkulacji, biznesplanów, promocji, rabatów, zniżek, wyprzedaży, billboardów, bannerów, ofert, cukierkowych komedii romantycznych, przerywanych co piętnaście minut reklamą miękkiego i różowego papieru toaletowego o zapachu lilii, pesymistycznych wiadomości w radio nadawanych w przerwach między pustymi i niemającymi w sobie nic z prawdy piosenkami o miłości, śpiewnymi przez bogatych nastolatków i nastolatki, z których każde miało swojego alfonsa-agenta, handlującego nimi jak prostytutkami,

bogatych tak, że chciało się rzygać. Popatrzyłem na Nicka i powiedziałem:

- Nie Nick. Nic nie jest OK. Wszystko jest nie-OK. Nie mogę oddychać i rzygać mi się chce. – Po czym zacisnąłem pięść i przywaliłem mu z całej siły w twarz, jego wargi pękły jak dojrzałe czereśnie, jak coś przed chwilą we mnie. Perfekcyjny nos (dwie operacje plastyczne) rozpląszczył się na idealnie gładkiej twarzy (cotygodniowe wizyty u kosmetyczki), słodko pachnąca krew bryzgnęła na nieskazitelnie białą (najdroższa pralnia w mieście) koszulę od Armaniego. Nick zatoczył się do tyłu i poleciał na biurko strażnika, który stał i gapił się na to wszystko. Na swojej twarzy czułem ciepłe krople. Nie wiedziałem czy to łzy, czy krew.

- Odchodzę – rzuciłem jeszcze i pobiegłem na górę, zanim którykolwiek z nich zdążył zareagować. Wpadłem do biura jak burza. Ludzie oglądali się za mną. Krew (a może łzy) miałem chyba też na koszuli. Ściągnąłem ją w biegu razem z krawatem i rzuciłem na drukarkę wypływającą jakiś wielostronicowy raport. Trzasnąłem drzwiami, urywając w połowie rozpaczliwe "Heeeeeeej!" wyjęzyczne przez właściciela raportu. Porwałem z szafki białego t-shirta i trampki. Adam wpadł do mnie kilka sekund później.

- Jeez, co się stało, Uzi? Co robisz, stary?

- Żyję Adam, żyję i oddycham! Będę w kontakcie! – Ruszyłem biegiem przez biuro. Dopadłem windy, z której wysiedli strażnik i Nick. Strażnik rzucił się na mnie. Zanurkowałem pod jego ramieniem, odepchnąłem do tyłu i rzuciłem się w dół po schodach, przeskakując po trzy stopnie na raz. Po drodze przez hall trzasnąłem z otwartej dłoni w monitor, który stał na biurku strażnika, zważył się z hukiem na ziemię. Wybiegłem z budynku i nie oglądając się, dopadłem samochodu. Zdażyłem wsiąść i odpalić silnik, zanim strażnik wybiegł za mną. Ruszyłem ostro, opony zapiszczały w głośnym proteście. Nie obchodziło mnie już nic, strażnik uskoczył sprzed maski

w ostatniej chwili i pobiegł z powrotem do środka, pewnie zaraz zadzwoni na policję.

Pędząc jak szalony lawirowałem pustymi i wąskimi uliczkami. Samochód porzuciłem na jednej z nich, niedaleko zejścia do metra, upewniwszy się wcześniej, że nie ma tu kamer policyjnych. Pojechałem do odległego o dwie dzielnice wielkiego parku. Spędziłem tam resztę popołudnia, włócząc się betonowymi uliczkami, wzdłuż perfekcyjnie przyciętych trawników i żywopłotów, nie myśląc o zbyt wielu rzeczach. Oczyszczałem umysł, głęboko wdychając namiastkę świeżego powietrza i słuchając odległych głosów miasta. Kilka razy minąłem patrole policji, częste o tej porze. Im później, tym więcej ich będzie – czas wracać do domu, do Zuzy. Policja prawdopodobnie już tam była, pozostaje pytanie czy czekają na mnie...

Dotarłem na miejsce w ciągu godziny. Nigdzie nie widziałem radiowozu, więc chyba nie czekała na mnie żadna niespodzianka. Lekko drżała mi ręka, gdy naciskałem przycisk w windzie. Stałem pod drzwiami, wziąłem głęboki oddech (czyż nie tego właśnie chciałem?) i wszedłem do mieszkania. Zuza siedziała w kuchni, na stole stał pusty dzbanek po kawie i do połowy opróżniona filiżanka.

- Co się stało, Zebek? – Spytała, gdy tylko pojawiłem się w środku. – Była policja, pytali o ciebie. Zostawili jakiś papier, masz się zgłosić na komendę w ciągu dwudziestu czterech godzin. Co jest grane? Podobno pobiłeś się z kimś w pracy? –

- Wszystko w porządku kochanie. Z nikim się nie pobiłem, tylko przywaliłem Nickowi – odparłem i poczułem w środku ulgę, że nie czekają na mnie. Zresztą co sobie wyobrażałem, że zrobią na mnie jakąś obławę? Tak naprawdę nie zrobiłem nic poważnego. Zuza stała z otwartymi ustami i gapiła się na mnie. – I rzuciłem pracę.

- Co...? Jak to: rzuciłem pracę? Jak to: przywaliłem Nickowi? O czym ty mówisz? –

- Normalnie, rzuciłem pracę i przywaliłem

mu. To znaczy najpierw przywaliłem a później rzuciłem. Wylali Claire – dodałem, jakby to miało wszystko wyjaśnić. Wyraz twarzy Zuzy nie zmienił się, aczkolwiek niebezpiecznie zaczęła jej drgać dolna warga – oznaka nadchodzącej wściekłości. Pozwoliłem by słowa płynęły ze mnie, nie za bardzo kontrolowałem to, co mówię:

- Chcę wyjechać, Zuza. Chcę rzucić to całe gówno i wyjechać gdzieś. Mam dość tego kraju, tych ludzi, tego miasta, tego kultu konsumpcji ponad miarę, sztucznych uśmiechów, regulacji, podatków. Rzygam telewizją, wszechobecnymi reklamami, promocjami i ludźmi izolującymi się w tłumie! Nie chcę jeździć po lewej stronie i nie chcę mieszkać w tej klatce! Mamy odłożone sporo kasy, możemy gdzieś zacząć nowe życie, wolni od tego wszystkiego. Kupimy trochę ziemi i dom w jakimś zapomnianym zakątku świata, gdzie gdzie nie ma znieczulicy, będziemy sobie spokojnie żyć. Wiem, że to brzmi jak jakaś idealistyczna utopia, ale pomyśl: własny ogródek, gdzie będziesz uprawiać zdrowe warzywa i owoce, zagroda, kozy, krowy, własne mleko i tak dalej... Ja mogę jakoś przez sieć pracować, na utrzymanie zawsze będzie, ty będziesz...

- O czym ty do cholery mówisz? Co ja będę? – Zuza patrzyła na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Chyba puściły jej nerwy – O czym ty kurwa mówisz?! Ćpałeś coś? Ćpałeś? Bo nie czuję alkoholu! Jakże wyjechać?! Jaka ziemia, jakie krowy?! Zebek! – Coś w niej pękło, bo nagle wybuchnęła gwałtownym płaczem, zanosila się jak dziecko. Wyciągnąłem ręce żeby ją przytulić, ale odepchnęła mnie mocno i wybiegła z kuchni. Wpadła do łazienki i zamknęła się. Słyszałem jak płacze. Usiadłem przy stole i dokończyłem jej kawę. Musiałem o tym wszystkim pomyśleć. Czy naprawdę chciałem wyjechać? Skąd nagle taki słowotok i taki pomysł? Porzucić to wszystko? Przypomniłem sobie, o czym dzisiaj myślałem, od momentu przebudzenia

się... Na pewno nie chcę żyć w takim świecie, tylko nie byłem pewien decyzji o wyjeździe. Gdzie mógłbym pojechać? Może jakiś archipelag na Pacyfiku, jakiś zakątek gdzieś w Indiach? Nagle drzwi od łazienki otwały się z hukiem, odbijając się od ściany i do kuchni weszła moja żona. Już nie płakała. Rozmazany makijaż nadawał jej upiorny wygląd. Dolna warga drżała w nieustającym staccato, pioruny we włosach iskrzyły niebezpiecznie.

- Oddaj mi wszystkie karty – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Jutro przeleję całą kasę na swoje konto oszczędnościowe. Wtedy możesz sobie jechać gdzie chcesz. – Ton jej głosu wzrastał w miarę, jak mówiła. – Bo ja nigdzie nie jadę! Nie zostawię tego wszystkiego, żeby... żeby co? Grzebać w ogródku gdzieś, gdzie? Gdzieś! To koniec, Zebek! – Teraz już krzyczała – Nie myślisz o mnie w ogóle! Mam spracować sobie ręce w jakiejś dziurze na końcu świata?! Bo co, bo ty masz dość?! A moja kosmetyczka, a mój fryzjer, nie ma sklepów, nic? Nic! Dawaj karty! – Nagle podbiegła do mnie i zaczęła bić pięściami w klatkę piersiową. Nie bolało. Nie tak jak gdzieś w środku. Zuza? Wiedziałem, że jest materialistką, ale żeby tak? I jakie swoje konto oszczędnościowe? Myślałem, że mamy jedno, wspólne! Czułem się zdradzony. Odepchnąłem ją gwałtownie, poleciała na krzesła, upadła. Rozpłakała się ponownie i chyba opadła z sił, bo została już na podłodze. Drżała, a łzy ciekły po jej policzkach.

- Nic nie dostaniesz – powiedziałem cicho. Decyzja zapadła sama gdzieś we mnie, w ciągu tych kilku ostatnich minut. Całkowicie niezależnie od mojej woli. Poszedłem do sypialni i z szafy wyciągnąłem małą sportową torbę. Spakowałem trochę ciuchów, zabrałem kilka książek z półki. Nagle dobiegł mnie głos Zuzy:

- Halo?... Tak, numer konta czterdzieści osiem... dwadzieścia pięć... - wrzuciłem jeszcze zdjęcie rodziców, które stało na mojej

szafce nocnej i wróciłem do kuchni. Siedziała przytulona do nogi od stołu, jej włosy były w nieładzie, twarz umazana w tuszu. Mówiła do słuchawki urywanymi zdaniami, pochlipując w przerwach:

- Chciałam zablokować... obydwie konta... Proszę? Na mnie i mojego męża... Zuzanna, zet-u-zet-a-en-en-a i Euzeb...- podszedłem do niej i trzasnąłem słuchawkę, która potoczyła się po podłodze. Zuza zamilkła, już tylko chicho chlipała pod nosem. Poszedłem do przedpokoju, ubrałem buty, po czym wróciłem do kuchni i zdeptałem słuchawkę. Rozpękała się w drzazgi. Założyłem kurtkę i nie oglądając się na Zuzę wyszedłem z domu. Gdy zamknęły się za mną drzwi klatki schodowej i poczułem bezruch późnowieczornego powietrza, zdałem sobie sprawę, że trzęsę się nie z zimna, tylko z napięcia. Musiałem jakoś to rozładować, więc puściłem się biegiem w kierunku głównej drogi. Powoli zapadała noc. W powietrzu było czuć tragedię.

Nick jechał jak szalony. Był zdenerwowany wszystkim, co się dziś wydarzyło. Zwolnienie Claire, zachowanie Euzebiusza i złamany nos. Cholernie spieprzony dzień. Mieli iść z żoną na wystawną kolację do Harriganów. Liczył, że poogląda sobie Sophie Harrigan i jej silikonowy tyłek w jakiejś obcisłej wieczorowej kreacji. Teraz już nic z tego nie wyjdzie, przecież nie pokaże się z bandażem na twarzy. Poza tym jest już za późno. Spędził cały wieczór w szpitalu, najpierw czekając na lekarza, później przechodząc różne badania i cały proces nastawienia nosa oraz założenia opatrunku. Wracał teraz do domu, zdrowo przeklinając i grubo przekraczając limit prędkości.

Biegłem. To było jak mantra, jak katharsis. Czułem jak z każdym krokiem uchodzi ze mnie napięcie. Z każdym oddechem

uspokajałem się coraz bardziej. Mój umysł wszedł w jakiś dziwny trans, nie liczyło się nic poza biegiem. Przede mną rysowała się ciemna wstęga głównej ulicy, latarnie musiały wysiąść. Biegłem.

Nick przyspieszył. Chciał być w domu jak najszybciej. Rozsiąść się w fotelu, włączyć telewizor i upić samotnie. Janey pewnie położyła dzieciaki do łóżka. Zanim pojechał do szpitala zadzwonił do niej i powiedział, że nicy z kolacji. Wyjaśnił pokrótce co się stało i poprosił żeby nie czekała na niego, bo nie wie ile mu zezdjie. Janey jest zazwyczaj posłuszna, musi być, inaczej nie miałaby tego wszystkiego, co ma, za jego pieniądze. Nagle wjechał w ciemność, rozświetloną jedynie łuną kompleksu wieżowców, który wznosił się po lewej stronie. Latarnie musiały wysiąść, pomyślał.

Biegłem. Niemal leciałem. Dotarłem do głównej drogi i wpadłem na asfalt. Z prawej z zawrotną prędkością nadjeżdżał samochód. Czułem w sobie wolność i siłę. Byłem pewien, że bez trudu przeskoczę nad nim, nad całą dwupasmową drogą, przelecę na drugą stronę i pobiegnę dalej. Bez końca, bez celu, dopóki nie opuszczą mnie siły, będę biegł, mantra będzie trwać. Samochód zaczął gwałtownie hamować.

Nick włączył radio, nadawali nocną jazzową audycję. Lubił jazz. Przypominał mu lata, które spędził na uniwerku jako student marketingu i zarządzania, włócząc się wieczorami po nocnych klubach, paląc trawkę i podrywając chętne do zabawy studentki. Wyobrażał sobie wtedy, że jedna z takich wyedukowanych, a zarazem ładnych i kształtnych studentek będzie jego żoną, a on będzie bogatym właścicielem dużej firmy marketingowej. Pomylił się tylko co do

posiadania własnej firmy i stopnia edukacji żony – Janey była po szkole kosmetycznej. Kiedy podniósł wzrok znad wyświetlacza, zobaczył jakiegoś faceta wbiegającego przed maskę. Światła samochodu omiotły jeansowe spodnie i lekką kurtkę. Na jego ramieniu kołysała się mała sportowa torba. Nick wdusił pedał hamulca w podłogę i samochód wpadł w niekontrolowany poślizg.

Czas zwolnił. To dziwne, wybiłem się do góry, będąc tak cholernie pewien, że po prostu przelecę na drugą stronę drogi. Nic takiego się nie zdarzyło. Po prostu wskoczyłem bezpośrednio przed samochód. Widziałem jak ślizga się powoli po asfalcie, obracając się w prawą stronę. Zatrzymałem się. Jakaś dziwna siła nie pozwalała mi się ruszyć. Pojazd sunął odwrócony bokiem prosto na mnie. Widziałem kierowcę z obandażowanym nosem i jego przerażone oczy. Na ułamek sekundy przed uderzeniem poznałem go. I on chyba poznał mnie, otworzył usta, bezgłośny krzyk wypełnił przestrzeń. Ja nie krzychałem. Po prostu patrzyłem w te oczy, patrzyłem do samego końca, uśmiechając się szczerze.

Lecę. Unoszę się powoli w górę, moje ciało wiruje. Pod sobą widzę obracający się samochód, który zatrzymuje się kilkanaście metrów dalej, tyłem do kierunku jazdy. Ślimaczym tempem okręcam się w powietrzu. Przed oczyma mam rozgwieżdżone niebo. Nagle wszystko zamarza, wiszę w powietrzu, nie mogę się ruszyć. Dostojna cisza świata i doskonały bezruch mnie. Teraz to gwiazdy zaczynają się obracać. Najpierw powoli, później coraz szybciej i szybciej, aż całe pole widzenia to wielki świetlny wir. Nie słysząc żadnego dźwięku, wszystko jest nieme. Już nie wiem czy to ja wiruję, czy całe niebo obraca się z prędkością światła nade mną. Gwiazdna otchłań zaczyna mnie wsysać, nic nie mogę zrobić. Jest tylko wir i ja, alfa

i omega, początek i koniec. Nic innego nie istnieje ani nie ma znaczenia. Moje ciało wiotczeje. Środkiem wiru i okiem cyklonu jest wielka czarna przestrzeń, jak ekran telewizora pozostawionego na stand-by. Koniec filmu, już po napisach, nie ma nawet reklam, tylko nieskończona głębia cyfrowej czerni w High-Definition. Zapadam się w nią jak w miękkie puchowe poduchy z czarnego aksamitu, a moje oczy owiewa pustka. Po chwili nie ma już nic.

Nick stał w szpitalu nad łóżkiem Euzebiusza i patrzył na niego. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Okrutny los sprawił, że potrafił go wczoraj na tej cholernej ciemnej drodze. Euzebiusz przeżył, ale zapadł w śpiączkę. Lekarze powiedzieli, że jego organy pracują, ale mózg nie wykazuje zbyt wiele aktywności. Tylko czasem jakiś samotny impuls elektryczny toruje sobie drogę przez zwoje szarej materii, aby zaraz umrzeć pośród pustki. Nick nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, to wszystko było jak jakiś koszmarny sen. Przeżegnał się i po raz pierwszy od czasu, kiedy miał dziesięć lat zaczął się modlić przez łyzy, które nagle pojawiły się w jego oczach.

Obudziłem się. Było mi straszliwie zimno. Otwarłem oczy, ale wokół panowała ciemność. Po chwili mój wzrok się do niej przyzwyczaił. Opanowało mnie dziwne uczucie, że skądś znam miejsce, w którym się znajdowałem... Siedziałem w wielkiej żelaznej klatce, wiszącej na czterech potężnych łańcuchach. Ich końce ginęły gdzieś w mroku wysoko nade mną. Zdawałem sobie jakoś podświadomie sprawę, że znajduję się w ogromnej jaskini, zimnej, wilgotnej i przerażająco pustej. Klatka kołysała się z boku na bok. Było tam wystarczająco dużo miejsca, żeby swobodnie stać i zrobić jakieś pięć, sześć kroków w każdą stronę. Pręty klatki były przeraźliwie zimne w dotyku,

dłonie natychmiast lekko przymarzały do żelaza. Na podłodze leżało jakieś złote podłużne urządzenie. Luneta. Uniosłem ją do oczu i rozejrzałem się wokół. W polu widzenia przestrzeń wokół mnie rozjaśniała się nieco tak, że można było dostrzec zarysy mnóstwa podobnych klatek, zwisających na łańcuchach wszędzie wokół. W każdej z nich znajdował się człowiek, ale ludzie ci stali po prostu bez ruchu i patrzyli w pustkę. Dostrzegłem kobietę z koszmarnie rozmazanym czarnym makijażem, jej twarz otoczona była falami blond włosów, z fioletowo-czerwonymi pasemkami w kształcie piorunów. W innej klatce ujrzałem pomarszczoną i zgarbioną wiekową staruszkę, która stała z przymkniętymi lekko oczami i otwartymi ustami, jakby zamarzył na nich krzyk. W kolejnej mężczyznę, ze złożonymi jak do modlitwy rękoma. Jego oczy i nos owinięte były bandażem, spod którego ciekły łzy. Zamarzając w locie spadały na podłogę jego klatki, błyszczące kryształki lodu. Gdzie indziej facet w błękitnym mundurze strażnika stał i patrzył w pustkę, nieobecny. Kolejna klatka, a w niej brzydka karlica z przeraźliwie smutną twarzą. Ta jako jedyna miała towarzysza: stare psisko, ledwo trzymające się na nogach. Zwierzę drzemało u jej stóp. Było jeszcze mnóstwo innych klatek, każda z lokatorem środka. Znajdowały się one jednak zbyt daleko, by dostrzec jakieś szczegóły. Nie wiedziałem, kim są ci wszyscy ludzie ani jak się tutaj znaleźli. Nie wiedziałem, co ja tu robię ani jak się tutaj znalazłem. Odjąłem lunetę od oczu i wokół mnie znowu zapadła ciemność. Wstałem. Z oddali dobiegł mnie odgłos, coś jakby nasilające się kapanie kropel. Moja klatka zaczęła się powoli kołysać w jego rytm.

Prezent Ślubny cz.1

Autor: Gorzkiblotnica

W
O
D
C
I
N
K
A
C
H

Piecie, pali – pryszczaty darł się wniebogłosy, szarpiąc ręką uwięzioną w podróżnej torbie wiedźmina. Drugi, grubawy z tępym wyrazem kompletnego debila na twarzy, patrzył na to z głupim uśmiechem.

- Chodź że tu Chwościk, pomóż mi.

- Ja nie głupi – mruknął Chwościk – żeby i mnie złapało. Mówił ci wiedźmin, żebyś torby nie ruszał. A z takimi jak on nie warto zadzierać.

- Święta racja Chwościk. Święta racja – Jaszczur wylazł z lochu, wlokąc za ogon wyjątkowo wielkiego i brzydkiego bazyliuszka – A wyglądałeś na takiego porządnego faceta.

- Mości wiedźmin, zróbcie coś, bo mi rękę spali. – skomlił pryszczaty Jedlina. – Ja nie myślał kraść, jeno ciekawość mnie zdjęła do tych słynnych, wiedźmińskich eliksirów.

- No, żeby czasem – Jaszczur pochylił się nad torbą – sok cytrynowy – szepnął i rzemień torby sflaczały, uwalniając Jedlinę. On zaś z błogim wyrazem ulgi na twarzy zanurzył czerwoną i pełną pęcherzy dłoń w głębokiej kałuży, która stała w koleinie zarosłego trawą traktu.

Grododzierzca o twarzy wyjątkowo smutnego buldoga wyjrzał przez okno. Popatrzył chwilę na stojący przed ratuszem wóz z bazyliuszkiem do którego zaczynali już schodzić się gapie.

- Duży był – rzekł siadając za karczemnym stołem – wypasła się bestia przy trakcie.

- Bywają większe – powiedział Jaszczur.

- Może i bywają – grododzierzca wysupłał z pasa sporą sakiewkę i podał przez stół wiedźminowi. - Wasza rzecz potwora ubić a moja za to zapłacić. Wasze dwieście florenów.

Jaszczur zważył sakiewkę w dłoni, po czym schował do torby.

- Nie przeliczycie?

- Mam do was zaufanie.

- W dzisiejszych czasach to bardzo deficytowy towar.- rzekł grododzierzca. - No to dziękuję wam mości wiedźminie. Rachunek za wieczerzę też już uregulowany. No, bywajcie zdrowi – dodał na odchodnym.

Jaszczur zaczął jeść swój ser z chlebem. Do stołu podeszło dwóch kmiotków w szarych kapotach.

- Wyście są wiedźmin Jaszczur – spytał niższy i starszy, mnąc przy tym nerwowo wielki, słomiany kapelusz, który trzymał w dłoniach.

- Ano ja. Siadajcie.

Kiwnęli głowami i usiedli na brzeżku ławy.

- Ty mów Łapa, tyś więcej wymowny – rzekł starszy do młodszego niesamowicie chudego i zarośniętego kmiotka. Ten ostatni poszurał po podłodze słomianymi łapciami i odchrząknął.

- Panie wiedźmin, my tu w ważnej sprawie – zaczął. – Rozchodzi się o strzygę. Przylazła do wsi i ludzi męczy.

- Młody Snopek to mało nie umarł. Antoni, znaczy nasz znachor, dwa tygodnie go ziołami leczył – wtrącił starszy.

- Juści prawda – zawtórował Łapa, – ciągiem w wiosce jakieś kłopoty. Najpierw na bagnie pokazała się szyszymora, wyła tam, że aż włos na głowie stawał, ale jakoś sama się wyniosła. Potem w stawie, nie wiedzieć skąd, zagnieździł się utopiec. Oj, strach było tamtędy chodzić, aleśmy staw spuścili i popłynął kurwi syn z wodą.

- A razem z nim wszystkie ryby – dodał starszy ponuro.

- Cichojcie Wawrzyńcu – uciszył go Łapa – Potem był skubbub. Ten napastował tylko niewinnych młodzianków, no chyba że chuci dostał, to i na starszego padło. Ale że nie był bardzo napastliwy, ot poużywał sobie od czasu do czasu, tośmy mu dali spokój.

- A całkiem do rzeczy był ten skubbubek – wtrącił Wawrzyniec rozmarzonym lekko głosem.

- No dyc mówię, żeśmy mu dali spokój.

Wreszcie przylazła ta obmierzła strzyga. Wiecie panie wiedźmin, jak ze dwadzieścia lat temu nazad urodziła się młynarzowej dziewczynka, to my od razu wiedzieli że to będzie strzyga. Dwa rzędy ząbków miała i umarła zaraz, jak się urodziła.

- Klasyczna strzyga – mruknął wiedźmin.

- Młynarzowa umarła tego samego dnia, a piękna to była kobieta – westchnął Wawrzyniec. – Istny anioł dobroci.

- Dziecko zakopalim, jak obyczaj każe, pod progiem chałupy – ciągnął dalej Łapa – no i miałem cichą nadzieję, że się wszystko po kościach rozejdzie.

- Rozeszłoby się, gdybyście dziecko spalili zamiast zakopywać.

- Jakże to – zdziwił się Wawrzyniec. – Przecie mówią, że wtenczas zaraza się może po okolicy rozejść.

- Ano właśnie, panie Wawrzyniec, mówią a sami nie wiedzą co. – Jaszczur spojrzał głęboko w wodnistoniebieskie oczy chłopca, aż tamten wstrząsnął się dreszczem - Strzyga żyje, choć jej serce nie bije. Pierwszej nocy odkopuje się, ucieka i kryje głęboko w lesie. Przybiera postać zwierzęcia, pierwszego które spotka. Tak żyje aż osiągnie dojrzałość, trwa to jakieś 17, najwyżej 20 lat. Wtedy wraca do wioski. Strzygi są zmiennopostaciowe, pokazują się najczęściej jako piękne dziewczyny, choć mogą się zmieniać też w zwierzę, jako które dorastały. Kiedy są zagrożone, zmieniają się w żdźbło słomy. Prawie nigdy nie przyjmują swojej właściwej postaci. Wiercie mi panie Wawrzyniec, nie chcielibyście jej takiej zobaczyć. Strzyga wysysa z człowieka aurę. Nie wytłumaczę wam dokładnie co to jest, bo to trudne, wystarczy wam wiedzieć, że to jest czysta siła życia. Jeśli człowiek to utraci, umiera. Zdrowy, silny mężczyzna wytrzymuje najwyżej dwa ataki, trzeci jest śmiertelny. Po ataku nie ma żadnych śladów, mimo to człowiek traci siły, staje się obojętny, odczuwa ciągły chłód, wreszcie umiera. Strzyga może pobierać aurę od zwierząt. Nie było tam u was czasem jakichś dziwnych pomorów?

- A jużci byli. Padły krowy na gminnym pastwisku, siedem sztuk jednej nocy.- Powiedział Łapa.

- Staremu Skowronowi zdechły wszystkie króliki - dodał Wawrzyniec. – Ale nie myślałem, że to od strzygi.

Jaszczur pociągnął długi łyk piwa. Kmiotkowie po drugiej stronie stołu poszeptali między sobą, poszurali łapciami i pokiwali głowami.

- Panie wiedźmin, przyszlubyście do nas, ulżylibyście naszej doli. Jakiś kąs dla was się znajdzie.- powiedział Wawrzyniec.

- Zebralim sto pięćdziesiąt florenów, wiem że to mało, ale u nas bieda.

- Wystarczy – powiedział Jaszczur wstając. – Wy jesteście z Końca Świata, a mnie i tak tamtędy droga.

Wóz był duży, okryty czarną płachtą z wielkim, złotozielonym znakiem, przedstawiającym stylizowane V oplecione przez węża. Czwórka koni, też czarnych, była dobrze wypasiona. Wawrzyniec z Łapą wymienili bojaźliwe spojrzenia. Mieli widoczną chęć uciec do lasu, ale w tym miejscu droga biegła środkiem obszernej polany i do zbawczych drzew było stanowczo za daleko. Poklękali więc tylko obok traktu i pozwieszali smętnie głowy. Jaszczur zdziwił się i zatrzymał.

- Co jest – spytał. – Przecież nie pora na wieczorne pacierze?

- Klękajcie panie – wionął ledwie dosłyszalnie Wawrzyniec. – Voldemort jedzie.

Jaszczur wprowadził się zatrzymał, ale klękać nie miał zamiaru.

- Klękajcie – przynaglił chłop z wyrazem przerażenia w oczach – bo sprowadzicie na nas nieszczęście.

- Nie klękam przed ludźmi.

Tymczasem wóz już zrównał się z nimi.

- Prrr.. – konie zatrzymały się, a z pod płachty wyrżał wyjątkowo chudy, na czarno odziany czarnoksiężnik

- Dlaczego stoisz? – spytał

- A co, mam sobie usiąść. – Jaszczur spoj-

rzał z politowaniem na Wawrzyńca, który próbował przywołać go do opamiętania, szarpiąc za cholewę buta.

- Pyskaty jesteś – zaśpiewał skrzekliwym głosem Voldemort – ale nie takich ptaszków przywoływałem do porządku.

- Radziłbym jednak uważać – powiedział grzecznie Jaszczur.

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie. W ręku czarnoksiężnika pojawiła się laska z rozcapierzonym końcem w którym tkwił jakiś kryształ. Voldemort warknął krótkie zaklęcie, z kryształu wystrzeliła z gwizdem struga zielonego światła. Błękitem zabłysła osłona, którą Jaszczur był wcześniej już postawił i odbite zaklęcie ugodziło Voldemorta. Czarnoksiężnik zastygł w bezruchu, jako że zaklęcie które rzucił, było dość pospolitym paralizatorem.

- A mówiłem żebyś uważał – mruknął Jaszczur. – Przez te czary krzywdę sobie kiedyś zrobisz.

Ściągnął Voldemorta z wozu i ułożył obok drogi. Czarownik nie mógł mówić, więc tylko wściekle przewracał oczyma.

- No widzisz - kpił wiedźmin. – Mogłeś nas przywitać jak człowiek, zaprosić na wóz. Ale ty nie, zakłęb ci się rzucać zachciało. Teraz sobie poleżysz, pomyślisz, ochłoniesz odrobinę. Do wieczora ci przejdzie. Ja tymczasem, pożyczę sobie twój wóz. Rozumiesz, przyjaciele mnie trochę wyprzedzili. – Dodał patrząc za uciekającymi pędem chłopkami. Dyrдали na wypródki, tylko kurz wzbity łapciami unosił się za nimi.

Wgramolił się na pojazd.

- Aha. Byłbym zapomniiał. Masz tu swój kijaszek, żebyś miał się czym podpierać w powrotnej drodze – rzucił laskę, która upadła tuż obok czarnoksiężnika i odjechał, klepnąwszy konie lejcamy po zadach.

Voldemort pożegnał wóz wściekłym spojrzeniem. Wiedźmin uśmiechnął się, wiedząc że magik nie mógł zauważyć błękitnego błysku, który zaświecił przez ułamek sekundy gdy dotykał laski.

Wawrzyńca i Łapę wiedźmin znalazł znacznie dalej, śmiertelnie wystraszonych i ukrytych w przydrożnych krzakach. Całą drogę biadali o nieszczęściach, jakie ten Jaszczurowy wygłup sprowadzi na nich i całą wioskę.

Posrebrzona księżycowym światłem ciemność za oknem rozbrzmiewała ćwierkaniem świerszcza. W kątach obszernego strychu chałupy zielarza Antoniego, pachnącego sianem i ziołami, myszy ośmielone ciszą zaczynały swoje harce. Jaszczur leżał na szeleszczącym sienniku. Odpoczywał. Rozkoszował się zapachem świeżej, owsianej słomy, którą wypchano posłanie. Zapach budził w nim niejasne, ale bardzo przyjemne wspomnienie czegoś co było, kiedy jeszcze nie był Jaszczurem. Spod przymkniętych powiek patrzył na mysie harce. Oczy w ciemności same przechodziły na termowizję. Zwierzątka świeciły leciutką zieloną poświatą. Biegały po wybitym deskami klepisku, przysiadły na tylnych łapkach by schrupać jakieś ziarenko lub inny znaleziony smakołyk. Przez otwarte strychowe okno wpadał chwilami ciepły powiew. Myśli płynęły wolno. Wjazd do Końca Świata. Popłoch wywołany pojawieniem się czarnego wozu Voldemorta. Długo Łapa musiał dobijać się do chałupy wioskowego starosty. Wreszcie wyszedł. Siwy, wysoki i prosty jak tyczka. Wyслуchał relacji Łapy, przywitał Jaszczura uściskiem żylastej dłoni i poprosił na wieczór, jako że pora była już późna. Jaszczur jedząc ubogi posiłek, uruchomił swój szósty zmysł. Chata starosty promieniowała dobrą aurą sprawiedliwych. Stopniowo zaczął słyszeć strzępki myśli z innych chałup. W jego mózgu powstał przestrzenny szkic wioski złożony z pragnień i uczuć jej mieszkańców. To była dobra wioska, i dobre myśli prawych, ciężko pracujących ludzi. Cieszył się tym uczuciem, to było coś jak ciepły promień słońca na twarzy. Poczuł to po dobrej chwili. To było słabe, ale wyraźnie śliskie i zimne. Pochodziło z przedostatniej chałupy, wiedźmin przypomniał sobie, tam była karczma. Wyte-

żył myśl, ale to było zbyt ulotne jak cień czegoś co zdarzyło się dawno. Aury strzygi nie wyczuł nigdzie. Były wprawdzie jej ślady, ale już wystygłe. Oprócz tego jednak coś w tej wiosce było nie tak.

Ktoś trącił go w ramię. Przed nim z wyciągniętą do powitania ręką stało niesłychanie wielkie chłopisko z równie niesłychanie bujną czarną brodą i włosami po ramiona. Wielka dłoń Antoniego omal nie zmiażdżyła Jaszczurowej ręki w przyjaznym uścisku.

Znachor mieszkał w niewielkiej, lecz schludnej chałupie nieco za wsią, wśród pachnących miodowo łąk. Był to człowiek przepełniony na wskroś dobrocią. Taki dobrotliwy, mądry olbrzym o dziecinny wprost spojrzeniu jasnych, niebieskich oczu. Wiedźmin dostał u niego cały stryszek na mieszkanie. Jaszczur wykapał się jeszcze w płynącej niedaleko rzeczce i teraz leżąc, już senny, zastanawiał się nad czymś, co umknęło jego uwadze a co było cały czas na pograniczu. Wreszcie pojął i uśmiechnął się do siebie. Przejeżdżając przez wioskę widział tylko małe dziewczynki i stare baby. Pewnie do mieszkańców dotarła już z gruntu nieprawdziwa legenda o niesłychanej hućliwości wiedźminów.

Na jabłoni za oknem coś zaszeleściło, ktoś zsunął się cicho na ziemię. Jaszczur sprężył mięśnie. Postać za oknem przebiegła podwórko i zniknęła w stodółce. Odprężył się, to była dziewczyna. Pewnie jakaś odważniejsza chciała koniecznie zobaczyć jak wygląda legendarny wiedźmin. Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna miała ogon.

- Przywidziało mi się - pomyślał. Podłożył ręce pod głowę i zasnął.

Obudził go nieludzki skowyt Antoniego. Świt już bielał za oknem. Zbiegł po schodach. Antoni w małej komórcie obok głównej izby pochylał się nad leżącą na posłaniu postacią. Wyglądał jak wielki, bezradny niedźwiedź. Oczy Jaszczura rozszerzyły się ze zdziwienia. Na sienniku leżała ni to dziewczyna, ni to kot, a właściwie hybryda jednego i drugiego. Ciało

nadal miało prawie ludzkie kształty, ale porastała je bura kocia sierść. Spod krótkiej koszuliny wystawał gruby, puszysty ogon, na głowie zaś sterczały szpiczaste uszy a żółte, kocie oczy były otwarte i zeszkłone.

Jaszczur poszukał tętna na szyi. Było, ale bardzo wolne i słabe.

- Nie pomożemy jej - odezwał się Antoni zdławionym głosem. - Otruła się.

Wiedźmin powąchał stojący obok łóżka gliniany kubek. Znał ten zapach. „Cicha śmierć”, mieszanina wrednych trucizn biologicznych. Działa dość długo, ale bezboleśnie i niesłychanie skutecznie. Nie było odtrutki. Był inny sposób. Roztarł ręce, skupił się i wokół dłoni zapłonęła błękitnawa poświata. Szarpnięciem rozdarł koszulę i zbliżył ręce do ciała dziewczyny. Zalśniły barwy rezonansu, Antoni zastygł oniemiały. Trucizny do krwi wniknęło już dużo. Moc rezonowała z cichym dzwonieniem, rozkładając skomplikowane toksyny do postaci cząstek wody i dwutlenku węgla. Jaszczur wpatrzony z napięciem w migoczące wokół nagiego ciała barwne rozbłyski, nie odrywając dłoni, otarł o koszulę pot spływający na oczy. Dzwonienie weszło o oktawę wyżej, barwy rezonansu przeszły od czerwieni do zieleni i złota. Zaczął naprawiać uszkodzenia spowodowane przez truciznę. Położył dłonie na brzuchu dziewczyny tam gdzie jest wątroba. Barwna aura zajaśniała silnie. Potem przyszła pora na serce, wreszcie ujął w ręce jej głowę. Masował delikatnie palcami skronie, pozwalając przepływać modulowanemu strumieniowi mocy. Oczy dziewczyny odzyskiwały powoli blask. Kocie źrenice zwężyły się powoli. Powieki opadły sennie, a pierś uniosła się równym oddechem. Blask wokół Jaszczurowych palców słabł powoli kiedy głaskał delikatnie włosy dziewczyny, modyfikując jej wspomnienia z ostatniego wieczora, by nie obudziła się z bolesnym poczuciem winy i krzywdy. Przekręciła się na bok zwijając w kłębek, jej oddech był cichy i spokojny. Wiedźmin przykrył ją wełnianą derką i Antoniemu dane było dojrzeć przez chwilę ciepły

uśmiech na jego pokiereszowanej twarzy.

- Przebyła długą drogę.- Szepnął- Organizm musi wrócić do równowagi. Pozwólmy jej pospać z godzinkę.

Wyszli do kuchni. Jaszczur zamknął cicho drzwi. Blask ognia na palenisku oświetlał czerwienią pociemniałe ściany i zawieszoną ziołami powalę.

- Antoni – odezwał się Jaszczur, wyglądając za okno na podwórze, które pokrywała szarawa mgła. – Przebierz ją póki jeszcze mocno śpi. Zatarłem jej pamięć, więc kiedy się obudzi, potraktuje to wszystko jak sen, ale spostrzeże że jest naga i może się przestraszyć.

Znachor zniknął za drzwiami. Jaszczur nałóż sobie mleka z garnka stojącego na kuchni, odkroił z bochna grubą kromę razowego chleba, wyłowił z maselniczki napelnionej wodą kawałek solonego masła i posmarował nim chleb. Antoni tymczasem przebrał w świeżą koszulę śpiącą nadal jak kamień dziewczynę.

- Dziękuję ci – powiedział cicho siadając naprzeciw przy stole. Jaszczur machnął ręką

- Nie ma o czym gadać – powiedział popiwszy chleb mlekiem.

- Jest o czym – uparł się znachor. - Gdyby cię nie było, już by nie żyła.

- Posłuchaj Antoni. Nie to jest ważne, że ją uratowałem. Ważniejsze jest, dlaczego sięgnęła po truciznę i skąd ją u licha miała. Powiedz mi, kim ona właściwie jest.

- To moja siostrzenica. – Antoni podrapał się po ciemieniu co jeszcze bardziej zmierzwiło i tak nastroszone włosy. – Mieszkała w Sa-lem. Ja też tam kiedyś mieszkałem, zanim nie wywalili mnie z uniwerku i z Kręgu. Dlatego wegetuję w tej dziurze i usiłuję leczyć ludzi. Hermiona uczyła się fachu a zdolna była bestyjka. Żeby w wieku czternastu lat uwarzyć eliksir wieloskokowy, oj to trzeba mieć główkę.

- Można się było spodziewać – wtrącił wiedźmin.

- Zakochała się w jakimś chłoptasiu z bogatej rodziny i chciała podszyć się pod jego narzeczoną. Znalazła włos na sukni tamtej, ale

pech chciał, że była to kocia sierść.

- Ten eliksir to wyjątkowe świństwo – uzupełnił Jaszczur. - Taka przemiana powoduje trudne do cofnięcia skutki.

- Nieodwracalne – poprawił znachor. – Byliśmy z nią, gdzie tylko się dało, ale wszędzie twierdzili, że już nic się nie da zrobić.

- Dawno to się zdarzyło?

- Dwa lata temu.

- Niedobrze. Najgorszy czas. W organizmie zachodzą zmiany. Modyfikacja się utrwała.

- Mówią, że na to nie ma rady – zasępił się Antoni. – Wstydziła się swojego wyglądu, więc zabraliśmy ją z miasta. Tu też mało komu się pokazuje. Pewnie znowu musieli jej nadokuczać a jest bardzo wrażliwa. Nie chce mi powiedzieć kto. Ale ja kiedyś dopadnę tych chłystków. – Zacisnął wielkie jak głazy, żyłaste pięści.

- Niech żyje tolerancja – mruknął ponuro Jaszczur.

- Jesteś czarodziejem? – po chwili milczenia stwierdził bardziej, niż zapytał Znachor. – Musisz zajmować wysoką pozycję?

- Nie należę do Kręgu. Tam siedzą sami skorumpowani debile.

- Za co cię wywalili?

- Nigdy do nich nie należałem, - Jaszczur popił mleka. – Jestem uczniem Kondrwiramusa.

- To ten od afery z kamieniem filozoficznym?- Antoni podrapał się w brodę. – Gadali, że on i jakiś drugi czarodziej utrzymywali, że go wyprodukowali. Podobno to była lipa i za to krąg się ich pozbył.

- Oni naprawdę wyprodukowali ten chędożony kamień – Jaszczur w zamyśleniu rozmażał kroplę mleka po stole. – Ja też brałem w tym udział. Nie powiem, że wynaleźli całkiem sami, bo podparliśmy się manuskryptami ze złotej ery. Ale Kamień był. Nawet śladowa ilość dodana podczas wytopu, zmienia każdy metal w złoto. Przedłuża także życie, choć by uzyskać nieśmiertelność, trzeba by powtarzać dawki co jakieś sto lat. Kondwiramus zażył to mając siedemdziesiąt pięć lat, teraz ma sto

czterdzieści i proces starzenia się nie posuwa. Ja też mam trochę więcej niż na to wyglądam.

- Znasz recepturę – oczy Antoniego rozbłyśły ciekawością.

- Zdziwisz się jaka jest prosta. – Jaszczur wymienił kilka łatwo dostępnych składników, Antoni spróbował zapisać ołówkiem na desce stołu, ale słowa momentalnie uciekały mu z pamięci.

- Nie trudź się – na pokiereszowaną twarz Jaszczura wypłynął niewinny uśmiech królika, któremu udało się splatać figla. – To bardzo niebezpieczny wynalazek. Pomyśl władza, jaką daje złoto i wieczne życie. Ludzie stanowią jeszcze do tego nie dorośli. Kondwiramus założył na recepturę zakłęcie niezapamiętywalności. Taki jego prywatny wkład w historię magii. – Jaszczur uśmiechnął się do swoich myśli. Kiedyś dla czystego dowcipu pozakładali na swoje imiona zakłęcie. Kondwiramus, Astrogarus i on. Akurat do chałupy przyszedł poborca podatkowy. Wpadł w przerażenie, kiedy wciąż wylatywały mu z pamięci imiona, które cierpliwie powtarzali dwaj dobrotliwie wyglądający starcy. Wreszcie Kondwiramus zaproponował słodkim głosem, zupełnie już skołowanemu urzędnikowi, ziółka na sklerozę. Urzędnik wrzasnął „Panowie czarodzieje, co wy mi robicie” – i uciekł z krzykiem a dwaj dobrotliwie wyglądający dziaduniowie zaśmiewali się do łez. – Dlatego tylko my trzej znamy recepturę, choć możemy mówić o niej na głos i każdemu. Żebyś wiedział jak wściekły się te bubki z Kręgu, kiedy Kondwiramus wraz z Astrogarusem przedstawili im recepturę a oni nie mogli jej użyć.

- A jeśli dorwą któregoś z was i spróbują torturami wydusić zdjęcie zakłęcia? To w końcu bardzo do nich podobne.

- Nie zaryzykują – Jaszczur uśmiechnął się krzywo - Każdy z nas wie o kręgu, powiedzmy, trochę za dużo. A Kondwiramus – Gdybyś go spotkał, pewnie powiedziałbyś, że to stary dobrotliwy zielarz i to po części prawda. Ale wieź mi, jest dla tych bubków gorszy od najgorszego koszmara. To najpotężniejszy czaro-

dziej tego wymiaru.

- Dajcie no babciu ten koszyk – zagadnął mijając drobniutką, pokręconą jak precelek babulinkę, taszczącą wielką plecionkę przykrytą gałganem. Ze środka wystawała gęsia szyja. – Pomogę wam trochę.

- Wyście są ten wiedźmak, co to go na strzygę najęli? – spytała babka, poprawiając szarą wełnianą chustę. Postawiła kosz na ziemi i zlustrowała go bez pośpiechu uważnym spojrzeniem – Grzecznicie – skwitowała, – Ale powiadają, że jak się czegoś po wiedźmaku dotknie to można, bez obrazy dla was, sparszywieć.

- Zaręczam wam babciu, że to bajka – Jaszczur podniósł z ziemi kosz, gęsi widocznie to się nie podobało bo syknęła ostrzegawczo. – Tak samo jak to, że jesteśmy, jakoby, bardzo chutliwi na dziewczęta. Skąd w ogóle żeście wzięli takie bzdury?

Babka chwilę dreptała w milczeniu.

- Na Zarowiu, no wiecie tam widać – powiedziała, pokazując pokrzywionym przez reumatyzm palcem skupisko chałup w dolinie – mają taką książkę. Dużą, w czarnej okładce. Ja tam nieuczona i liter nie rozumiem – zastrzegła – ale Wawrzyniec, on chodził dwa lata do gminnej szkółki i pisma rozumie, mówił, że tam pisze jak różnym lichom zaradzić. Tam pisało o utopcach, szyszymorach i o strzygach też.

- No i co w tej księdze o strzygach pisało?

- Ano, że tu ino wiedźmak może zaradzić. – zwróciła na niego wyblakłe, szare, ale jeszcze bystre oczy.

Większość jarmarków na świecie wygląda podobnie. Ten z Końca Świata, też nie wyróżniał się niczym szczególnym. Obszerny, błotnisty plac pełen był straganów, furmanek, beczek i worków. Kwiczały konie i świnię, wszelkiego rodzaju drób gęgał, kwakał i gdał z każdej możliwej strony. Mimo bardzo wczesnej pory, plac był zatłoczony ludźmi. Przekupki darły się wniebogłosy, babki wrza-

skliwie targowały towary, kłócąc się i wzywając chyba wszystkich możliwych bogów. Tylko stary żebrak, beznogi weteran jakiejś wojny, siedział cicho pod płotem, zapatrzonej nostalgicznie gdzieś w dal nad karczemnymi chlewikami. Jaszczur wyszperał sestercję i wrzucił do miseczki. Weteran skinął statecznie głową. Zagłębił się między stragany. Właściwie nie miał zamiaru nic kupować, ale cenna była możliwość rozejrzenia się wśród ludzi. Wokół niego zrobił się nagle tłok. Bardzo młody złodziejaszek, złapany za rękę z wiedźminową sakiewką, momentalnie zbiegł na widok nieludzkiej twarzy jej właściciela.

- To bardzo nieładnie, przyjacielu, zabierać czyjąś własność bez pytania. - Jaszczur wyjął mu delikatnie sakiewkę ze zdrętwiałej dłoni - Bardzo nieładnie.

Tak szybki, że umykający spojrzeniu cios rzucił złodziejaszkiem o ziemię.

- Głupi był. Może teraz zmądrzeje. - Jaszczur schował sakiewkę za pazuchę, kilku gapiów obserwujących zajście rozsunało się z szacunkiem. Sporo czasu minęło, zanim gówniarz zebrał się z błota. Usiadł z jękiem, wypłuł z ust breję składającą się z krwi i powybijanych zębów, wysmarkał krew ze złamanego nosa a z niewinnych, chabrowo niebieskich, oczu popłynęły mu wielkie jak grochy, całkiem dziecinne łzy. Zebrał się z trudem i poszedł chwiejnie za stajnię.

Jaszczur zdążył obejść cały jarmark. Słońce zaczynało już dobrze przygrzewać. Poprawił słomiany kapelusz w którym, prawdę mówiąc, wyglądał idiotycznie a który kupił tylko dlatego, że dziewczyna która handlowała słomianymi wyrobami, miała niesamowicie zielone oczy. Zaczął przepychać się przez ciżbę w kierunku zielarskiego straganu. Po drodze porozmawiał chwilę z brzydką dziewczyną, sprzedającą wprost z beczki kiszony ogórek. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego i za dobre słowo dała mu wielki, doskonale ukiszony ogórek.

Antoni zakrył dłonią usta by stłumić

śmiech. Jaszczur stanął przy jego straganie w swojej czarnej, nabijanej ćwiekami kurtce, żółtym słomianym kapeluszu na głowie i z nadgryzionym, wielkim ogórasem w ręce. Stragan zielarza składał się ze stołu zastawionego słoiczkami i dzbankami, oraz poziomej żerdki wspartej na kilku patykach z której zwisały pęczki ziół. Jakaś schylona babulinka skarżyła się znachorowi jękliwie na bule i rwanie w boku, racząc go przy okazji opowieścią o wrednej synowej. W pewnej chwili przerwała w pół słowa. Na jarmarku wszczął się jakiś ruch. Ludzie rozstępowali się robiąc szeroką drogę, którą kroczył czarno odziany jegomość z kijem w ręku. Nastąpiła niesamowita cisza. A w tej ciszy wionęło podawane z ust do ust jedno słowo. Voldemort.

- Broń się - warknął czarnoksiężnik, stając kilka kroków od wiedźmina i trzymając laskę w wyciągniętej przed siebie dłoni. - Jeśli oczywiście potrafisz.

- Może byśmy to jednak przedyskutowali? - Jaszczur stał nadal niedbale oparty o stragan z ziołami. Zaciekawieni ludzie utworzyli wokół nich szeroki krąg.

- Na twoim miejscu zacząłbym się modlić - powiedział Voldemort, nieco wyprowadzony z równowagi - zaraz umrzesz.

- Nie. - Jaszczur zjadł ostatni kęs ogórka i oblizał palce - Masz zablokowaną laskę, a słyszałem, że bez niej nie potrafisz nawet się podetrzeć.

Voldemort poczerwieniał na twarzy. Wykrzyczał krótkie, zresztą jak najbardziej zabronione zaklęcie, zwane Mortate, które sprowadzało natychmiastową śmierć. Nagle pobladł wytrzeszczając oczy, bo laska rozbłysła nieziemskim zielonym blaskiem, powietrze jęknęło złowrogo a jęk przechodził po okładowach w górę, aż do niemożliwego pisku.

- Na ziemię - wrzasnął Jaszczur.

Złożył palce w znak. Powietrze zadrgało jak woda w którą wrzucono kamień. Fala rozeszła się powalając ludzi. Chwilę potem laska w rękach Voldemorta eksplodowała z niesamowitym hukiem. Ognisty podmuch rozszedł się

nad placem, rozwalając stragany i przewracając wozy. Uderzenie dosięgło wiedźmina tuż przy ziemi. Spadło na niego niebo, potem była ciemność. Nie czuł, że przetoczył się jak piłka kilkanaście łokci i wyrznął w przewrócony wóz.

Ocknął się z wrażeniem że ktoś chce go utopić, ale to tylko Antoni polewał go obficie wodą z drewnianego cebra. Otworzył oczy. Otaczały go zarośnięte z reguły szczerbate gęby chłopów. Uśmiechnięte gęby. Spojrzał wokół. Plac jarmarczny wyglądał jak po przejściu tajfunu, a nieopodal w niewielkim zagłębieniu uczynionym przez eksplozję, dymiły szare od kurzu buty Voldemorta. Podniósł walający się po ziemi słomiany strzęp.

- Skurwysyn. Popsuł mi nowy kapelusz. – powiedział ku ogólnej radości zgromadzonych wokół wieśniaków.

Jaszczur pomacał się po głowie i skrzywił z niesmakiem. Na ciemieniu wyrósł pokaźny guz, który na dodatek bolał jak trzeba.

- Musiałeś o coś przywalić podczas upadku. – Antoni przyłożył mu na bolące miejsce szmatkę zmoczoną w zimnej wodzie. – Co to właściwie było, bo łupnęło zdrowo?

- To laska Aarona. Bardzo silny artefakt z poprzedniej ery. Stworzony bodaj przez Erasmusa Wielkiego, niestety dostał się w niepowołane ręce. Skażony, stał się niesamowicie niebezpieczny. Wszędzie piszą, że zaginął parę wieków temu a tu patrz, odnalazł się i to gdzie.

- Ano na naszym „Końcu Świata”.

- Tak właściwie, to skąd żeście wystrasnęli tego pajaca?

- Łatwo ci mówić – obruszył się Antoni. – Pajaca. On tu całą okolicę w strachu trzymał. Jest na Rozłogach, koło Koziej Wólki wieża. Niedobre to miejsce. Czas się go nie ima. Był tu kiedyś taki młodzik z miasteczka, co w Hogwarcie studiował. Powiadają że założył się z kumplami, że prześpi noc w wieży. Przespał a kiedy rankiem przyjechał do domu, kazał się lordem Voldemortem tytułować. Tych, co się

zaczęli z niego śmiać z miejsca pozabijał. Musiało mu się coś owej nocy przydarzyć. Potem zaczęli znikać ludzie, to i strach padł na okolicę.

- Mówisz Antoni, że mieszkał w wieży ? – Jaszczur podrapał się w głowę i syknął bo uraził się w guza. – Trzeba się tam będzie sposobniejszym czasem przejść.

Bolało. I to bolało jak jasna cholera. Każdy nerw odzywał się wściekłym rwaniem. Ciało buntowało się przeciw następstwom mutacji każdą żywą komórką. Jaszczur pożałował, że przestał popijać wywar łagodzący nieco przebieg ataków. Spróbował przeczołgać się do torby gdzie miał eliksir. Napięte skurczem do granic możliwości mięśnie odmówiły jednak posłuszeństwa. Zwinięty w kłębek wcisnął twarz w poduszkę. W ciszę nocną wdarł się stłumiony, przeciągły skowyt. Atak przyszedł późno i był ciężki. Krew zamieniała się w płynny ogień, szczękościsk mało nie kruszył zębów, do tego dostał jeszcze drgawek i trząsł się jak potępieniec. Zaskowyczał jeszcze raz mimo woli.

Drewniane schody zaskrzypiały cicho pod bosymi stopami. Na strych weszła Hermiona. Jej kocie oczy błysnęły fosforyczną zielenią. Zawahała się chwilę a jej ogon wystający z pod sięgającej zaledwie połowy ud koszuli, drgnął kilka razy niepewnie.

- Co się wam stało – spytała kładąc dłoń na jego czole. – Może obudzić wuja?

- Faszka- przekazał Jaszczur telepatycznie, bo przez zaciśnięte szczęki słowa nie chciały przechodzić. – Zielona faszka w torbie. Daj mi ją.

Dziewczyna odskoczyła przestraszona, ale posłusznie wyszperała faszkę. Przystawiła mu do ust. Szkło zadzwoniło nieprzyjemnie o zęby. Pociągnął kilka łyków niedobrej, słonej cieczy. Podziękował mrugnięciem oczu. Szczękościsk nie pozwalał nadal mówić. Dziewczyna przyniosła z dołu mokry, lniany ręcznik i przyłożyła mu do czoła. Ból powoli odchodził, puszczały też napięte do granic wy-

trzymałości mięśnie. Wiedźmin z cichym jękiem wyprostował skulone ciało, Hermiona mokrym ręcznikiem otarła jego spoconą twarz.

- Dziękuję – wychrypiał nie swoim głosem.

- Może jednak obudzić Antoniego – zapytała jeszcze raz.

- Nie trzeba. Już mi lepiej. Do rana będę jak nowy – spróbował się uśmiechnąć, ale zmaltretowane mięśnie twarzy odmówiły posłuszeństwa. – Możesz już iść.

- Posiedzę przy was jeszcze chwilę. – powiedziała.

- Jesteś telepatą? – odezwała się po chwili milczenia.

- Jestem, ale dość lichym. Muszę dotykać kogoś, żeby móc mu coś przekazać.

- Możesz odbierać myśl? Słyszałam, że można w ten sposób rozmawiać. – pytała z ciekawości. - Czy ja czasem was nie męczę? – zreflektowała się.

- Nie Hermiono. Już mi lepiej. – usiadł z westchnieniem na posłaniu.

- Skąd wiesz jak mam na imię?

- W końcu jestem telepatą. Pozwól, pokażę ci. – położył ręce na jej głowie, jedną na czole, drugą na potylicy.

- Jestem Jaszczur - usłyszała gdzieś wewnątrz swego mózgu – możesz mi mówić tak jak wszyscy.

- Niesamowite – szepnęła.

- Nie mów, wystarczy że pomyślisz – Jaszczur odezwał się wewnątrz niej.

- Opowiedz mi o sobie – poprosiła w myśli i aż zdziwiła się swojej odwadze.

- Dobrze.

Popłynęły obrazy. Obrazy tworzyły opowieść. Najpierw te mroczne. Płonące miasta, wojowników, przerażonych ludzi. Wreszcie te dobre i ciepłe. Chatka nad górskim jeziorem, mistrz Kondwiramus, słońce nad horyzontem o świcie, ciepły ogień i droga, na koniec - wzorzec. I zrozumiała zdziwiona, że wie już wszystko o tym człowieku o oszpeconej twarzy. Wojowniku i czarodzieju

- Teraz twoja kolej. – usłyszała w swojej

głowie i poczuła tam coś w rodzaju miękkiego dotyku. – Nie obawiaj się.

Obrazy znów popłynęły, tylko że w drugą stronę. Pogodne i słoneczne, przysłaniane obłokami małych dziewczęcych trosk. Przyszłość z eliksirem, trochę wstydu i zawiedzione nadzieje. Paru wrednych uprzykrzających życie wyrostków. Na szczęście nie było tam już nic o truciznie. Wiedźmin zdjął ręce. Hermiona siedziała jeszcze chwilę oszołomiona wrażeniami.

- To było niesamowite – szepnęła. Siedziała na brzegu posłania, Bawiła się puszystym końcem ogona. Widać było, że nie chce jeszcze odchodzić.

- Posłuchaj Hermiono, bardzo ci doskwiera że jesteś po części kotem?

- Dokuczają mi te wiejskie głupki – spochmurniała. – Wiem, co sobie myślisz: „Głupia dziewczucha, sama sobie winna”

- Nie wcale tak nie myślę – Jaszczur uśmiechnął się ciepło. – Myślę sobie „Mądra dziewczyna, która kiedyś po prostu za bardzo kochała kogoś, kto tego nie był wart”.

- Teraz nikt mnie już nie pokocha. – Kocie oczy Hermiony zwilgotniały.

- Dlaczego?

- Bo jestem brzydka - nadąsała się.

- Nie Hermiono. Nie jesteś brzydka. Jesteś inna. Masz mięciutkie futro, pewnie wielu chciałoby się do ciebie przytulić, piękne złote oczy, no i te śmieszne, szpiczaste uszki. – poczochnął jej grzywkę. – Nie wspomnę, że te twoje oczy widzą tak jak moje w ciemności. A wierz mi, wielu poważnych czarodziejów strawiło lata nad tym, żeby te możliwości przenieść na ludzi. Jestem pewny, że z tym ciałem jesteś niesamowicie szybka i zwinna, właśnie jak kot. No i powiedz mi, kiedy ostatnio chorowałaś.

- Nie pamiętam.

- No widzisz?

- Nigdy tak o tym wszystkim nie myślałam.

- Wiesz, co Hermiono, spowodować żebyś stała się na powrót tylko dziewczyną, jest już niemożliwe. Ale myślę, że mógłbym sprawić,

żebyś stała się zmiennopostaciowa.

- Mogłabym wtedy stawać się dziewczyną lub kotem? Naprawdę mógłbyś to zrobić?

-W głosie dziewczyny zabrzmiała nadzieja.

- Mogłabyś też przyjmować taką postać jak teraz. Ale na razie nie chciałbym robić ci za dużych nadziei. Sporo czasu minęło. Nie wiem na ile twoje ciało pamięta, jakie było kiedyś. – podrapał się za uchem. – Gdybyś trafiła do mnie od razu, to było by proste. A teraz trzeba będzie stosować eliksiry przypominające. Oczywiście, jeśli ciało coś w ogóle pamięta. Tak czy inaczej będę cię musiał zbadać, jeśli oczywiście pozwolisz.

- Dlaczego nie przywrócisz sobie dawnego wyglądu? Przecież kiedyś byłeś normalnym człowiekiem.

- Mnie zmieniono mutagenem, i moje ciało nie zachowało pamięci.

- Będzie bolało? – spytała

- Dlaczego?

- Ostatnio, kiedy mnie czarodzieje na Czar-cim Zębie badali, wycięli mi kawałek skóry. – odsłoniła wyżej koszulę. Po zewnętrznej stronie uda bielila się szeroka na trzy palce blizna.

- Barbarzyńcy – warknął Jaszczur. Przykrył bliznę dłonią, zasyczała cichutko moc.

Ostatni Pociąg

Autor: Archaniol

Była to jedna z tych nocy, w których nie ma nadziei na świt.

Antoine de Saint-Exupéry

Rozłożyłem koc, położyłem się i zapatrzyłem na wschód. Słońce właśnie wstawało, budziło się do życia, zupełnie obojętne na widok otaczającego mnie świata. Nie rozumiałem dlaczego na nie patrzyłem, mrużąc oczy pod chromowaną powierzchnią okularów przeciwsłonecznych. Może to był strach, jakiś ujmujący serce odruch, który do końca miał mnie pozostawić po tej jasnej stronie życia. Reakcja organizmu, oduświadcianie się na pustkę. Cofanie chronologii rzeczy, które widziałem, które zapamiętałem.

Postanowiłem zaczekać. Zbyt długo uciekałem, cały ten bieg, przez zalane słońcem doliny, pagórki, czy drogi o błyszczących kałużach musiał mnie w końcu znudzić. Wiedziałem, że niebawem go usłyszę, był głośny, każdy, kogo dane mi było jeszcze ujrzeć, mówił, że syczy i dyszy. Nie ominie mnie, jedynie delikatnie objedzie, parę metrów od mojego koca, który chronił ziemię przed ciepłem słońca.

Nagle zaczęło się chmurzyć. Złożyłem więc okulary i odrzuciłem za siebie. Były już zbyt ciężkie. Chmury – białe, czyste – biegły po nieboskłonie jak żagle niewidzialnych statków, wędrujące wraz z wiatrem. Ale po dłuższym czasie zaczęły nudzić. Były piękne, ale monotonne. Obserwacja zawsze musiała się tak skończyć – chyba, że cały czas patrzyliśmy na coś nowego.

Miałem nadzieję, że moje domysły okażą się prawdą. W jakimś żalosnym odruchu spłótłem dłonie, zupełnie jakbym chciał się modlić, o to by mnie nie ominął. Choć potępiałem wierzących, zwłaszcza w tej chwili, to sam nagle sięgnąłem po ich broń. Najsilniejszą broń – nadzieję.

Po ten ogień, co nie gaśnie i nie parzy.

Zawstydzony schowałem je w kieszeniach. Nie mogłem pojąć, dlaczego bezwiednym ruchem uniosłem stopę. Nowe buty jakoś nagle przestały mnie zachwycać – stały się zwykłym dodatkiem do mojego ciała. To na nim skupiłem uwagę. Czy to chcąc je podziwiać, czy się z nim pożegnać. Nie wiedziałem. Nigdy nie miałem wiedzieć.

Słyszałem go. Syczał, gwizdał. Jak to pociąg. A ja musiałem czekać. Nie mogłem wyjść mu naprzeciw – utrudniłbym mu tylko pracę, nie zauważyłby mnie, bądź stanął nagle, pełen wyrzutów sumienia. Ale i tak nie osiągnąłbym nic wielkiego, bo w końcu ruszyłby dalej. Przysporzyłbym tylko sobie kłopotów, bardziej cierpiał, przejmując się. Więc leżałem. Słońce gasło na mych oczach. Nie było żadnej mgły, żadnego stanu przejściowego, tylko cień ogarniał niebo nade mną.

Gdy przyjechał, był już jakby późny wieczór.

Chociaż sobie obiecałem, że nie obejrzę się na zachód, chęć spojrzenia w oczy śmierci pokonała mnie. Zerknąłem za siebie. Ujrzałem lokomotywę, z komina której unosił się czarny dym, kłębiący się i płynący za maszyną, zalewający wszystko mrokiem. Mijała mnie, ale – co mnie niezmiernie zdziwiło – zwalniała. Z kabiny maszynisty wychylił się mężczyzna, zerknął na mnie przelotnie i schował się z powrotem. Maszyna zatrzymała się, kamienie zachręściły pod metalowymi kołami. Syk pary i dymu owiewających maszynistę na chwile mnie ogłuszył.

Podniosłem się i stałem tak, oniemiały, brudząc koc nowymi butami. Bałem się, bałem jak nigdy, najprawdziwszym strachem, nieudawanym, realnym, pełnym bólu i świadomości cierpienia.

Maszynista wyłonił się z mroku prześlizgującego się po maszynie, niebrudzącego jej, odchodzącego za wagonik z promieniami słońca, którymi podkładano do pieca. Za maszyną nie

widziałem już niczego. Była tylko ciemność. Cały zachód spowity był mrokiem.

- Co tam trzymasz? – zapytał mnie, wskazując pomarszczonym palcem na zawiniątko pod pachą.

Był żylasty, raczej chudy. Spodziewałem się kogoś zupełnie innego, niż maszynisty o zielonych oczach.

- To? Aaa too... to... lusterko – wydukałem.

Było mi głupio, bo gdzieś w głębi siebie czułem, że starał się być uprzejmy.

- Mogę? – zapytał.

- Tak, oczywiście.

Rozpakował je i obejrzał się dokładnie. Przynajmniej tak to wyglądało, bo na ułamek sekundy zobaczyłem, że lustro go nie odbija. Było puste. Oddał mi je, jakby z nostalgią.

- To dobre lustro. Ale zbyt wielu ludzi widziało w sobie właśnie to, lustrzane odbicie.

Patrzył na mnie, pełen tajemniczej siły, skrywanej w tym chudym ciele.

- Nie rozumiem...

- Lustro nie odbija ludzkich grzechów – rzucił.

- Ahaaa. – Oblizałem wargi. – I pan jest...

- Tak – wtrącił się. – Jestem. Nie lubię jak ludzie mnie nazywają. To takie... nudne.

- I to już... ostatni? – Kiwnąłem na lokomotywę.

- A miał być jeszcze jakiś? – odpowiedział pytaniem, trochę zdziwiony.

Uśmiechnąłem się nieśmiało.

- Jak mawiał Miłosz, innego nie będzie.

Nagle pomyślałem sobie, że mogłem go tym urazić. Jakoś umniejszyć jego rolę, jego pracę, która chyba była bardzo trudna.

- Ja... przepraszam, jeśli pana uraziłem...

- Nie przejmuj się – rzucił. – Ludzie już dawno porzucili miłość bez słów, dla słów bez miłości.

Mrugnął do mnie. Niemal przyjaźnie. Niemal, bo nieludzko.

- A... co z nią? – Jakoś ta kwestia nie dawała mi spokoju. – Przecież jest niedokończona. Byliśmy... zbyt niedoskonalimi by wchodzić

w jej tematykę i głosić prawdy ostateczne niej dotyczące.

- Dlatego miłość dla ludzi wciąż będzie czymś więcej niż reakcją chemiczną. – Wydał wargi, jakby żałował. A może odzywała się w nim tęsknota? Nie wiedziałem dlaczego, ale zabrzmiało to jakby mówił o zmarłym. Pocięszyło mnie słowo: będzie. No i na chwilę przestałem myśleć tylko o sobie. Nagle maszynista wyrwał mnie z mojej twierdzy – umysłu – wyrzuciwszy z siebie pocieszenie. – Ale miłość jest jak słońce. Spróbuj je zatrzymać, bądź zawrócić, a wtedy uwierzę w jej koniec.

Wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnąłem rękę w jego stronę.

- Pali pan? – zapytałem, chcąc być grzecznym.

- Nie, w mojej profesji to niewskazane. – To chyba miał być żart, bo zachichotał pod nosem. – A ty, chłopcze, palisz?

- Nie, ale teraz to bez różnicy.

- Tak sądzisz? – Patrzył na mnie bystro, srogo niemalże. Schowałem paczkę, wstydząc się wyrzucić za siebie.

Chwilę myślałem co powiedzieć. Czekał, machając przed sobą nogą, dotykając żdzbeł wyschniętej trawy.

- Wiesz, tak trochę świata widziałem – odezwał się nagle, nie patrząc na mnie. – I zastanowiłem się, dlaczego ludzie powiedzieli tyle pięknych zdań, napisali tyle pięknych książek, skomponowali tyle genialnych utworów...

- Dlaczego? – Odważyłem się wtrącić.

- Bo świat nigdy ich nie słuchał. Zawsze była potrzeba by to robić, bo nigdy nie uznano czegoś za wystarczające...

Urwał, patrząc na moje drżące ręce.

- Boisz się? – zapytał retorycznie. Właściwie nie wiedziałem, dlaczego przyznałem się, kiwając szybko głową. – A żal ci? – Potwierdziłem tym samym gestem.

Uśmiechnął się. Naprawdę przyjaźnie. Miał białe, czyste zęby, bez kłów, wszystkie równe.

- Strach uczy nas szacunku do życia – rzu-

ciłem.

- Otóż to. – Brzmiało to jak wyrok.

Zagryzłem mocno usta i zacisnąłem powieki. Nozdrza rozszerzyły mi się, gdy wydychałem gorące powietrze, w jakimś spazmie przerażenia. Poczułem jego dłoń na ramieniu. Otworzyłem oczy.

- Nie dałoby się jakoś poczekać? Tyle rzeczy jeszcze przede mną.

Pokręcił przecząco głową.

- Przykro mi.

Naprawdę starałem się nie rozpłakać. Naprawdę. Spojrzałem na niego, rozmytego przez mgłę łez. Patrzył na mnie w bezruchu. Odezwał się po chwili, jakby poruszony.

- Tam coś jest – rzucił kiwając głową w mrok. – Nie zwlekaj, bo tylko dajesz sycić się bólowi.

- Ale ja się boję – zaprotestowałem głośno, choć tak po prawdzie, nie chciałem nic mówić.

- Czego?

- Zły początek zły koniec przynosi – zaczynałem Eurypidesa, jakby to zdanie wszystko tłumaczyło.

- Naprawdę sądzisz, że twoi rodzice klęli, gdy przychodziłeś na świat? Że chrzcili cię, bo tak nakazywał dobry obyczaj? – Pokręciłem głową. Nie odważyłem się powiedzieć, że nie o to mi chodziło. – To czego złego się spodziewasz? – Przysunął się bliżej mnie, jakby chcąc pocieszyć. – Tajemnice, w których jesteś ślepy zawsze napawają strachem. Ale strach to zło. A gdy nie możesz pokonać zła, wygłódź go dobrem.

Przetarłem oczy i pociągnąłem nosem. Zostawiłem koc i lustro i paczkę papierosów, która niepostrzeżenie wyslizgnęła mi się z kieszeni. Jeszcze leżała tam gdzieś komórka – głuchoniema, jakby zaciskająca zęby przed ostatnim kontaktem. Z nicością.

Odwróciłem się jeszcze raz w jego stronę. Wyszeptał mi:

- Bądź odważny.

Po czym zniknął za ciężkimi kłębami mroku wciąż parującego z lokomotywy. Ślepy,

trafiłem na ścianę, szedłem przy niej, czując wypukłości i chłód metalu pod palcami. Nagle natrafiłem na klamkę. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Strach ustąpił. Tylko dlatego że zrozumiałem, abym nie ograniczał się na światło. Czasem prawdziwe piękno kwitło przecież dopiero w ciemności.

Wymacałem siedzenie i usiadłem, czując się dziwnie dobrze. Ciepło rozlewało się w moim ciele, jak u pijaka, który zaraz ma umrzeć na mrozie. Pomyślałem o jesiennych liściach w odcieniach słońca – nie wiedziałem dlaczego. Może umysł sam podsuwał mi obraz najpiękniejszego pożegnania. A może podświadomość napraszała mi się z przecuciem, że i po tej nocy nastanie nowy dzień. Bo taki był odwieczny porządek rzeczy. I gdyby został ktokolwiek, komu mógłbym coś poradzić, prócz maszynisty, który rozgrzewał piec swej lokomotywy nową porcją promieni słonecznych, wiedziałbym co rzec.

Bierz przykład z czasu.

Choć wszyscy go określają i starają się ograniczyć, choć jego bieg wyznaczają zegary, niczym narzędzia niewoli i choć wszyscy na niego klą, darząc szczerą nienawiścią...

On dalej robi swoje.

Kamień

Autor: Pujsel

Słońce zachodziło powolutku, rzucając na niewielką polanę złoty cień. W pobliskim lasku, w akompaniamencie pluskającego radośnie bagnistego strumyka, majestatycznie pływały młode łanie. Leżący dokładnie po środku polany wielki kamulec pogrążony był w głębokiej kontemplacji. Po jego kamiennym wyrazie twarzy wywnioskować można było iż jest on całkowicie obojętny wszelkim zewnętrznym bodźcom docierającym nieustannie do jego chropowatej powierzchni. Kontemplacja przedłużała się w miarę jak Słońce w swych ognistych cichobiegach pokonywało swą odwieczną trasę.

- Fascynujące... – mruknął do siebie Kamień

- Co jest takie fascynujące? – zapytała rosnąca rzut kamieniem od Kamienia Sosna

- Nie gadam z tobą...

- Dlaczego? - zapytała zdziwiona iglasta.

- Drzewa nie gadają – odpowiedział Kamień.

Podziwianie rosnącej trawy należało do ulubionych zajęć Kamienia. Podobnie jak filozoficzne dysputy na temat złożonej zależności mentalno-spi rytystycznej Ogórka Szklarniowego często prowadzone z Wiatrem – ogólnie znanym i podziwianym włóczęgą. Niestety, nie potrafili dojść do ogólnie pojętego konsensusu jako że Wiatr często wyrażał się w sposób zupełnie dla Kamienia niezrozumiały, w czym nie było nic dziwnego, Wiatr był człowiekiem światowym... No może nie człowiekiem, ale na pewno światowym.

Kamień często i gęsto, zwłaszcza gęsto, rozważał wyewoluowanie w sobie jakiejś broni która pozwoliła by mu walczyć z ptakami, częściej nazywanymi przez niego 'tą jebaną kudłatą zarazą'. W prawdzie ptaki nie miały futra, ale z drugiej strony Kamień nie miał oczu które pozwoliły by mu to dostrzec.

- No naprawdę... – mruknął do siebie Kamień.

- ? – odpowiedziała mu zdziwionym szele-

stem igieł Sosna

- Nie twój zasmarkany interes – rzekł poirytowany wścibskością wścibskiego krzaka.

- Nie jestem krzakiem!! – oburzyła się sosna.

- Zamknij się, drzewa nie gadają! – odpowiedział oburzony Narrator.

Poirytowany Kamień wstał i odszedł w poszukiwaniu innej polany. A może dna morza... Wszak był on kamieniem migrującym. Idąc sztywnym krokiem przez las zastanawiał się w jaki sposób słyszy skoro nie ma uszu. A co dziwniejsze, w jaki sposób idzie skoro nie ma nóg...

'Dziwny jest ten świat' pomyślał Kamień.



*Wiem! Zaraz wzleci Weny mewa,
Sens nowszy nada starym słowom.
Z upadku wszak się podnieść trzeba...
I umieć zacząć żyć na nowo.*

Zbiorek kilkudziesięciu wierszy - drogowskazów ale i cennych uwag dotyczących życia, funkcjonowania, egzystencji. Warto zajrzeć, zatrzymać się w tej codziennej gonitwie, zmienić choć na chwilę swoje spojrzenie na świat, a potem pognać w dal, by za czas jakiś znów powrócić do zawartych w nich myśli.

Do kupienia na:

http://www.you-ebook.pl/pozycja/krajobrazy_duszy

Wywiad z autorem na stronie 64



Wspomnienie

Autor: Ero

Siedząc w ciszy
powoli się rozwijam
sens słów pozostaje
bez znaczenia

ociekasz zmysłowością
ciepły воск na twojej skórze
ślady zadrapań
wciąż lekko czerwone

szminkowe motyle
znaczą twoje ciało
doskonała biel
poprzecinana czerwienią

kaskada twoich włosów
rozsypana na poduszce
idealny aksamit czerni
plącze się w przyjemności

twój dotyk
utrwalony na zawsze
na gładkim papierze
bez połysku

zapomnienie boli
początek końca
bezkresny
pęknięta klisza





Nibylandia

Autor: Kheira

P
O
E
Z
J
A

byłam tam wczoraj
z obiektywem lekko sennych oczu

nakładałam żółte filtry
na nosy piegowatych dziewczynek
by grały ze słońcem w berka

chłopcy mieli swoje księstwa
rumaki z brzozowych witek
i legiony kasztanowych ludzików

pachniało jak nigdy
karmelkami pod językiem
dzieciństwem
które już dawno za nami

dałam się porwać bezwiednie
cukrowym obłokom
stokrotkom w welonach do ziemi

i jednemu małemu chłopcu
w kącikach twoich oczu
dźwigającemu ku niebu
kąciki moich ust

(24.02.2010)





Szachy

Autor: Piotr Knasiecki

Nieostrożność niedbałość szyk wyrazów błędny
W którym wbrew swej intencji poeta je stawia
W niwecz obrócić mogą jego cel nadrzędny
Wiersz gdy mówi o wszystkim i nie pozostawia

Cienia choć wątpliwości jest jak szach królowi
Przez dwie na szachownicy postawiony wieże
Z których jedna go w sidła swej intrygi złowi
Gdy już druga ratunku możliwość odbierze

Miej więc wszelką dowolność i pełnię swobody
Obróć w żart parsknij śmiechem przyłóż łód do skroni
A gdy armii drewnianych znużą cię podchody
Z szachownicy je zgarnij jednym ruchem dłoni





Kapu Kapu

Autor: Mroczne Kalesony

Kapu, kapu, woda kapie
A ja z Tobą na kanapie.
Wciąż Cię ściskam dłońmi mymi,
Namiętymi, gorącymi.
I tak muskam Cię i muskam,
A tam woda dawno pluska.
Mój wzrok lata jak szalony
Cały w Ciebie zapatrzony.
A tam potok płynie rwący,
Cały dom zatapiający.
Mokra już podłoga cała,
Szkoda to wręcz niebywała.
Lecz tak jest już na tym świecie,
Lepiej zostaw to kobiecie.
Bo chłop w całej swej bytności,
Brak uwagi podzielności
Ma za jedną z wad największych
I tu kłopot bywa częstszy,
Bo gdy gatki chłop ceruje,
Dach ciekący zaniedbuje.





Miniatury Zebrane

Autor: Rootsrat

I'M SAD

Jestem sadem pełnym
gorzkich owoców rozpaczy.

ZNIECZULICA

- A co mnie to obchodzi? -
powiedział drwiąco cień przechodnia
na widok rozbitej żarówki
z której wylewały się
ostatnie krople światła.

19:58, GRUDZIEŃ.

Cisza i noc ogarnęły świat.
Ostatnie światła zapalają się w oczach.
Można już opowiadać bajki.

WRESZCIE RADOŚĆ

Smutno
- źle mi, nieciekawie

szarobrudny kamyk w trawie
on przyciąga wzrok na chwilę:

już wesoło - tak, ja żyję!

ŚMIERTELNE

śmierć przyszła
spóźniona
- już spałem



ŻYJĄCE

ptak leciał
całą pełnią życia
chwycił Wolność w skrzydła

TAŃCZĄCE

spadający liść
zatrzymał się na wieszaku -
tańczyli

**OCZYWISTA TRUDNOŚĆ WYMÓWIENIA
TEGO PROSTEGO ZDANIA JEST DOWODEM,
ŻE JEDNAK BĘDĘ**

nie.
nie.
nie.
nie.
nie będę.
nie.
nie będę się buntował.

PONURE

nadleciały kruki zmierzchu
miały skrzydła umazane
kolorem zeszłej nocy

jest też wiolinowy klucz
dzikich gęsi
wskazujący drogę
złamanym sercom poezji.
Iluzją

jest za to poskręcany klucz
dzikich słów na nieboskłonie poezji
wskazujący drogę
do złamanego serca mojej psychiki.
Rzeczywistością

oczy jak wodospady
niezmierzone ręką
ni zapalką

NIEPEWNOŚĆ

Ścieżki, którymi kroczę
są doprawdy zawiłe.
Kiedy patrzę na nie z lotu ptaka
układają się w dobrze znany mi znak:
?

MUZYCZNE

wodospad grał na strunach
tańczącego lustra
rozśpiewanej wody

OFIARNE

jestem ofiarą losu
składaną na ołtarzu życia
i rozdmuchiwaną na cztery strony światła
przez zimny wiatr samotności

WIEJĄCE

silny wiatr przyniósł
w porywistych dłoniach
świszczący i gwizdzący oddech
zmęczonej człowiekiem Ziemi

przyszło lato
ponure deszczem

: nie ma już grzecznych dzieci

w przedszkolu
pokemony i teletubisie
uczą się pierwszych liter alfabetu

GŁÓD

Znowu żyję herbatą.
Bob Marley napelnia mój brzuch
słodką muzyką.
Głód mija.

idę przez długi korytarz
ciemno jak w dupie
dużo w życiu nakłamałem
mogę teraz świecić oczami

1998-2004

Grensir

Muzyka z Kaer Morhen

Przygoda średnio urodziwego Grensira zaczęła się trzy lata temu, kiedy to trafił do folk metalowego zespołu SWAR. Chcący z początku grać bluesa muzyk musiał szybko przystosować się do zupełnie nowego gatunku muzyki. Szybko odkrył że folk to muzyka której szukał przez całe swoje życie. Po rozpadzie zespołu Grensir podjął próbę założenia nowego, jednak jego wysiłki spełzły na niczym. Gdy wszelkie starania zawiodły, muzyk zaczął tworzyć sam. Grając na klawiszach zaczął nagrywać kolejne utwory. W swoich dziełach Grensir łączy wpływy metalowe (motywy blackowe i gotyckie) z folkowymi, jednak zawsze skupia się na tym aby używać więcej tych drugich. Wszystko co słyszycie w jego piosenkach jest nagrane elektronicznie na klawiszach.

Od 2009 roku Grensir dostał propozycję stworzenia ścieżki dźwiękowej do kilku modów do Wiedźmina. Właśnie trwają nad nimi prace, co opóźni oficjalne wydanie dema.



Jeżeli macie ochotę zapoznać się z twórczością imię Grensira, to zapraszamy serdecznie na Jego profile w serwisach Myspace, Youtube i Joemonster:

<http://www.myspace.com/grensir>

<http://www.youtube.com/user/Guzel666>

http://www.joemonster.org/bojownik/Mrocne_Kalesony

Fabryka Pozytywnych Emocji

Autorzy: Paulina Łuszkiewicz, Przemysław "Rootsrat" Małacha

POGRANICZA

Fabryka Pozytywnych Emocji to kolejny, interaktywny projekt polskiej grupy artystycznej Polish InvadARTs, która zadebiutowała swoją pierwszą wystawą w Leeds w listopadzie 2008 roku (krótki reportaż można zobaczyć na www.youtube.com/watch?v=QlsINYABgxs). Polish InvadARTs przypomina o tym, co istotne i odrywa nas od szarej codzienności. Jeśli coś sprawia ci przyjemność i wyraża twoje uczucia, dlaczego nie podzielić się tym z innymi, szczególnie na emigracji? Wrażenia artystyczne są międzynarodowe i nie znają żadnych granic, fizycznych czy językowych. Każda aktywność powinna być doceniana i kontynuowana, a widzowie powinni czerpać inspiracje i przyjemność z obcowania z nią.

Druga edycja wystawy, czyli Fabryka Pozytywnych Emocji próbuje na stałe odcisnąć twórczy ślad na brytyjskiej ziemi i udowodnić, że kreatywne pomysły mają sens na wszystkich poziomach ludzkich aktywności, a przestrzeń artystyczna może być budowana zawsze i wszędzie.

W tym roku nie tylko:

1. obalamy stereotyp Polaka-pracownika fizycznego - ale czerpiemy z niego inspiracje
2. jednoczymy pokolenia - wystawiamy dla wszystkich, niezależnie od wieku - ale zapraszamy do interakcji z artystami

3. pokazujemy i konfrontujemy sztuki z różnych dziedzin - ale produkujemy je podczas trwania wystawy.

Sztuka dla Invadartsów to wyrażenie siebie, możliwość oderwania się od codzienności i kreatywnego oraz pozytywnego zareagowania na otaczającą nas rzeczywistość. Stąd FPE - gdzie pozytywne emocje generowane są właśnie dzięki artystycznym interakcjom między twórcą, produktem i odbiorcą.

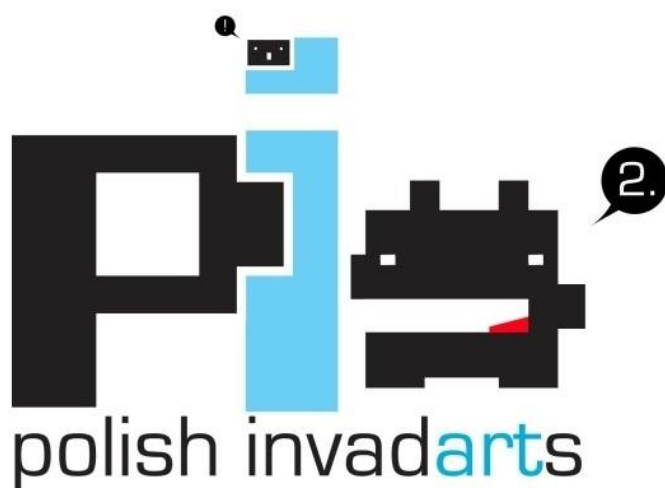
Fabryka rozpocznie działalność 12 czerwca 2010 o godzinie 18-tej w Polskim Ośrodku przy Newton Hill Road w Leeds i - podobnie jak ostatnim razem - będzie to konfrontacja różnych przejawów twórczej aktywności.

W programie Fabryki Pozytywnych Emocji, przewidziana jest wystawa fotografii, literatury, malarstwa, grafiki, biżuterii artystycznej, pokaz body paintingu, filcowania oraz graffiti. Niezapomnianych doznań muzycznych zapewnią polscy DJ-e.

Przewidziana jest również możliwość zakupu prac przez zwiedzających.

Otwarty będzie bar i kawiarnia z polskimi wypiekami, a po godzinie 22 rozpocznie się afterparty, które potrwa do wczesnych godzin porannych.

W imieniu ekipy Polish InvadARTs zapraszamy serdecznie, nie tylko na wystawę, ale i na stronę internetową grupy www.myspace.com/polishinvadarts. Można nas również znaleźć na www.facebook.com. A jeśli stworzysz coś, czym chciałbyś się podzielić z innymi lub jesteś zainteresowany/a współpracą z nami, czekamy na maile: polish.invadarts@gmail.com.



Vademekum początkującego poety, cz.1

Autor: Kheira

Pomyślałam sobie, że warto byłoby wziąć poezję pod lupę i stworzyć coś w rodzaju poradnika dla początkującego poety. Zamieszczane przeze mnie „artykuły” będą miały charakter informacyjny.

Nie jestem w tej kwestii (tnz. poezji) żadnym autorytetem, więc proszę się nie spodziewać jakiś naukowych wywodów. Postaram się, żeby zamieszczane przeze mnie teksty były napisane językiem przystępnym i przysłużyły się wszystkim Poetom zamieszczającym wiersze na naszym forum.

Różnice między poezją a prozą

Temat niby banalny, ale jak się okazuje w praktyce, wcale nie tak oczywisty; wystarczy spojrzeć na poezję współczesną, a konkretniej wiersze białe i wolne (temat ten omówię bliżej w innej artykule).

Żeby móc nazwać różnice między poezją a prozą, trzeba najpierw wyjaśnić elementarne pojęcia „poezja” i „proza”, jednym słowem zacząć od fundamentów.

Wprawdzie mam awersję do Wikipedii, ale sądzę, że te dwa pojęcia zostały tam w miarę dobrze wytłumaczone (przynajmniej dla zwykłego zjadacza chleba).

Poezja (z gr. poiesis – tworzenie, wytwórczość, sztuka poetycka) – wieloznaczny termin, współcześnie stanowiący przede wszystkim określenie dzieł literackich nie napisanych prozą lub synonim liryki.

1. Najdawniejsze, nieużywane już znaczenie terminu „poezja”, to **ogół wszystkich dzieł literatury pięknej**.

Utożsamienie wszystkich dzieł literatury pięknej z poezją wynikało z tego, że większość utworów literackich pisana była mową wiązaną, a dzieła pisane prozą cenione były niżej.

2. W drugim, żywym do dziś znaczeniu terminu „poezja” oznacza **mowę wiązaną, tj. wszystkie utwory pisane wierszem**. W tym znaczeniu termin „poezja” jest przeciwieństwem terminu „proza”.

3. W tym znaczeniu zakres terminu „poezja” **pokrywa się z zakresem terminu „liryka”**. Znaczenie to jest najnowsze, używa się go od drugiej połowy XIX w. Utożsamienie poezji i liryki zaszło dlatego, że od tego czasu niemal cała twórczość epicka pisana jest prozą. Także dramat od drugiej połowy XIX w. rzadko pisany jest wierszem, mimo różnych prób ożywienia dramatu poetyckiego, dokonywanych np. przez T.S. Eliota i nowy teatr elżbietański. Kiedy używa się terminu „poezja” jako synonimu terminu „liryka”, włącza się w jego zakres nie tylko liryczne utwory wierszowane, ale także utwory liryczne pisane prozą (poematy prozą).

Proza to:

- **mowa niewierszowana, przeciwieństwo wiersza**
- **niewierszowana literatura narracyjno-fabularna, synonim beletrystyki**.

Należą do niej utwory epickie, np.: nowela, opowiadanie, pamiętnik, powieść, reportaż, baśń, mit, kronika, legenda.

Prozą nazywamy również myśli sprecyzowane językiem literackim, lecz niepodzielone na wersy, strofy, wersety, niezawierające rymów.

Hmm, i w sumie moglibyśmy na tym zakończyć, ale sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy wkroczymy, jak już wspomniałam, w cieśninę poezji współczesnej (głównie wierszy białych i wolnych) albo

dolożymy trzecie pojęcie, tj. „proza poetycka” lub np. „ballada”.

Pod uwagę trzeba wziąć to, że na przestrzeni epok pojęcie „poezja” ewoluowało i były okresy, w których poezja była utożsamiana li i wyłącznie z liryką, nosiła wyraźne znamiona cech typowych dla dramatu oraz takie, w których bliżej jej było do prozy, czyli jakby nie patrzeć epiki.

Hmm, także jak już pewnie zauważyliście, łatwo nie jest:).

Obiecałam jednak na początku, że postaram się nie wdawać w „naukowe wywody”, dlatego też nie będę zbytnio drążyć tego tematu. Miejcie jednak świadomość tego, że nie wystarczy powiedzieć: „wiersz to takie coś, co jest podzielone na strofy, no i się rymuje, i posiada rytm”.

Nic bardziej mylnego. Wiersz równie dobrze może być napisany w sposób ciągły (takie wiersze nazywamy fachowo stychicznymi) np. „*Pan Tadeusz*” Adama Mickiewicza. Ktoś złośliwy teraz może powiedzieć przecież to poemat, epopeja narodowa, czysta epika.

A ja odpowiem. Dobrze, zgadzam się z tym, co dalej nie zmienia faktu, że to utwór napisany wierszem stychicznym, ponieważ jest zbudowany z ciągu wersów niepodzielonych na strofy.

Nie jest to jednak typowy wiersz, nie jest to jednak poezja w takim ujęciu i w takim znaczeniu, do którego przywykliśmy- piszę to, żeby zaraz ktoś mi nie wyleciał z tekstem, że szerzę jakąś herezję :). Musicie pamiętać o tym, że istnieją tzw. **gatunki synkretyczne**. Do gatunków synkretycznych zaliczamy takie gatunki literackie, które posiadają cechy typowe dla dwóch lub trzech rodzajów literackich, czyli: liryki, dramatu lub epiki.

Ok., a teraz próbka prawdziwej poezji i wiersz stychiczny:

Jan Twardowski "Oda do rozpacz"

Biedna rozpacz
uczciwy potworze
strasznie ci tu dokuczają
moralisci podstawiają nogę
asceci kopią
święci uciekają jak od jasnej cholery
lekarze przepisują proszki żebyś sobie poszła
nazywają cię grzechem
a przecież bez ciebie
byłbym stale uśmiechnięty jak prosię w deszcz
wpadałbym w cielęcy zachwyt
nieludzki
okropny jak sztuka bez człowieka
niedorośli przed śmiercią
sam obok siebie

Równie dobrze moglibyśmy stworzyć
z tego wiersz strophiczny:

Biedna rozpacz
uczciwy potworze
strasznie ci tu dokuczają
moralisci podstawiają nogę
asceci kopią
święci uciekają jak od jasnej cholery
lekarze przepisują proszki żebyś sobie poszła

nazywają cię grzechem
a przecież bez ciebie
byłbym stale uśmiechnięty jak prosię w deszcz
wpadałbym w cielęcy zachwyt
nieludzki
okropny jak sztuka bez człowieka
niedorośli przed śmiercią
sam obok siebie

Teraz mamy wiersz składający się z dwóch
strof.

Obaliłam więc już pierwszy mit, mówiący
o tym, że wiersz musi być podzielony na
strofy.

Teraz druga bujda na resorach: „wiersz
musi posiadać rym”. Otóż wcale nie musi,
wystarczy spojrzeć na wiersze białe, które

56

Wers jest, mówiąc trywialnie, pojedynczą linijką wiersza wyodrębnioną intonacyjnie i graficznie (co każdy widzi patrząc na jedną linijkę xxxxxxxx w zamieszczonym przeze mnie przykładzie dla wzrokowców lub myślących inaczej). Wers może, ale wcale nie musi, być zdaniem.

Przykład:

Jan Twardowski
"Szczęście po chorobie"

Radości byle jakie
podwyżki ubogie
ciemność co nos do nosa drugiego przybliża
narzeczeni bez jutra
jak dwie ręce krzyża
nieszczęście jak szczęście po ciężkiej chorobie
- to nic - mówię do serca
- wyruszamy w drogę

Gdyby faktycznie potraktować każdy wers jako osobną całość, to tylko: trzeci, szósty, siódmy i ósmy wers uznałibyśmy za zdanie, ponieważ tylko w tych wersach mamy do czynienia z orzeczeniem.

2. *Kondensacja treści* - w sumie jest to konsekwencja pierwszej wspomnianej przeze mnie różnicy. Treść w poezji jest bardziej kompaktowa, zwarta. Dlatego też w poezji raczej nie natkniemy się na zdania wielokrotnie złożone, a co za tym idzie, rzadziej używa się spójników.

Przykład:

Wiersz
Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej

Jesteś cichy i zamknięty jak kielich
zesnuowanego powoju. Otwórz się,
powiedz pragnienie swoje uczynię wszystko
co w mojej mocy, a wiesz o tym, że mogę
wiele zmienić w sobie.

A teraz niby ten sam wiersz, który wierszem być przestaje:

Ej, kochanie, a co ty dzisiaj taki nie swój?
Normalnie taki cichy i zamknięty jesteś jak
kielich zesnuowanego powoju, cokolwiek to
znaczy. A propos powojów, trzeba w końcu
kupić jakieś kwiatki na balkon, nie sądzisz?
Ej, no co jest? Weź się otwórz tygrysku i nie
bądź taki „bułkę przez bibułkę”. Jak się
otworzysz, to kicia uczyni wszystko, co w jej
mocy, żeby tygrysek był zadowolony. No
a tygrysek przecież dobrze wie, że kicia wiele
potrafi i wiele może w sobie zmienić. Jak
tygrysek chce, to kicia będzie pieszczoszka,
no a jak nie, to i pazurki może pokazać.

Jak widzimi ze względów graficznych, strukturalnych, ale także językowych, tego tekstu nie można nazwać wierszem.

3. *Język* - w poezji język jest zdecydowanie bardziej wysublimowany i wyrafinowany. W prozie może występować język potoczny, w poezji też sięga się do języka potocznego, ale robi się to z większym umiarem. Poezja jest rodzajem sztuki. Poeta staje się poniekąd rzeźbiarzem a narzędziem jego pracy słowo. To, co wyjdzie spod palców rzeźbiarza, musi mieć wartość estetyczną, co nie znaczy, że w poezji nie ma miejsca chociażby na wulgaryzmy. Wszystko jednak musi mieć określone proporcje, musi być zrobione z wyczuciem lub czemuś służyć.

Przykład:

Julian Tuwim
Fragment „Wiosny”

Zachybotało! -- Buchnęło - i płynie -
Szurają nóżki, kołyszają się biodra,
Gwar, gwar, gwar, chichoty,
Gwar, gwar, gwar, piski,
Wyglancowane dowcipkują pyski,
Wyległo miliard pstrokatej hołoty,
Szurają nóżki, kołyszają się biodra,
Szur, szur, szur, gwar, gwar, gwar,

Suną tysiące rozwyrzanych par,
 - A dalej! A dalej! A dalej!
 W ciemne zieleńce, do alej,
 Na ławce, psiekrwie, na trawce,
 Naróbcie Polsce bachorów,
 Wjcie się, psiekrwie, wjcie,
 W szynkach narożnych pjjcie,
 Rozrzucicie więcej "kawalerskich chorób"!
 A!! będą później ze wstydu się wily
 Dziewki fabryczne, brzuchate kobyły,
 Krzywych pędraków sromne nosicielki!
 Gwałćcie! Polecii każda na kolację!
 Na kolorowe wasze kamizelki,
 Na papierowe wasze kołnierzyki!
 Tłumie, bądź dziki!
 Tłumie! Ty masz RACJĘ!!!

No, i tu poeta pojechał totalnie po bandzie. Był to jednak zabieg CELOWY. Wiersz nawiązuje do twórczości jednego z najwybitniejszych modernistycznych poetów francuskich, tj. Artura Rimbauda. Dobrze, ale pewnie ktoś teraz pomyśli: ale po jakiego grzyba? Ten wiersz miał być rodzajem „protestu” przeciwko biologicznemu rozpasaniu się, rodzącej się deprawacji. W tym wierszu uderza nas ironia, wręcz sarkazm (żeby nie powiedzieć chamstwo) autora. Tuwim wyraża swoją pogardę wobec pierwotnych, zwierzęcych instynktów drzemiących w człowieku, itd. Stąd też taki a nie inny język.

Jeśli mówimy o języku w poezji, to nie sposób nie wspomnieć o środkach stylistycznych (a jest ich pełno, dlatego poświęcę im uwagę w osobnym artykule). O ile potrafimy sobie wyobrazić wiersz bez hiperboli (pod warunkiem, że wiemy z czym to się je :)), o tyle bez epitetów czy metafor poezja praktycznie by nie istniała.

4. *Dosłowność vs. wieloznaczność (czyt. krowa nie zawsze musi być krową)* - w prozie brakuje typowej dla poezji wartości naddanej tekstom przez estetyczną funkcję słowa; w prozie wszystko jest wyrażone dosłownie, zgodnie z regułą fabuły. Innymi słowy, brak

w prozie relatywnie dużego udziału metafory stanowiącej dominujący chwyt semantyczny, a nastawienie na komunikat i odbiorcę odwraca uwagę od znaku językowego decydującego o artystycznym kształcie. Wiersz spełnia swoją poetycką funkcję wtedy, gdy posiada taką organizację naddania tekstu, że rodzi się z każdym słowem jego wieloznaczniowość i sam komunikat językowy posiada znacznie większą pojemność informacyjną niż by to wynikało z samych słów, a dlatego przede wszystkim, że podważone zostały w tekście reguły kodowania (konwencjonalne w wypadku prozy), polegające na związkach rzędu, zgody i przynależności.

A teraz przekładając to z polskiego na nasze...

Ten punkt nawiązuje w dużym stopniu do fragmentu traktującego o środkach stylistycznych w powyższym punkcie, a konkretniej do metafory, czyli królowej wszystkich środków stylistycznych typowych dla wiersza. To właśnie metafora sprawia, że treść staje się wieloznaczna. Mówiąc o prozie, mamy na myśli literaturę faktu, tzn. czytając takie zdanie:

Kasia została wysłana wczesnym rankiem po świeże bułeczki.

każdy normalnie funkcjonujący człowiek, nie będzie szukał w tym zdaniu drugiego dna i nagle nie zrobi z Kasi pana Mietka (żula z zamięłowania i powołania) udającego się późną nocą do sklepu monopolowego, w celu nabycia spirytusu.

Poezja natomiast może (co wcale nie znaczy, że musi) być wieloznaczna. Za przykład posłuży mi wiersz:

Czesława Miłosza
„Porcelana”

Różowe moje spodeczki,
Kwieciste filiżanki,
Leżące na brzegu rzeczki
Tam kędy przeszły tanki.
Wietrzyk nad wami polata,
Puchy z pierzyny roni,
Na czarny ślad opada
Złamanej cień jabłoni.
Ziemia, gdzie spojrzysz, zasłana
Bryzgami kruchej piany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Zaledwie wstanie jutrzeńka
Ponad widnokrąg płaski
Słychać gdzie ziemia stęka
Maleńkich spodeczków trzaski.
Sny majstrów drogocenne,
Pióra zmarzłych łabędzi
Idą w ruczaje podziemne
I żadnej o nich pamięci.
Więc ledwo zerwę się z rana
Mijam to zadumany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Równina do brzegu słońca
Miazgą skorupkę pokryta.
Ich warstwa rześko chrupiąca
Pod mymi butami zgrzyta.
O świecidełka wy płonne
Co radowałyście barwą
Teraz ach zaplamione
Brzydką zakrzepłą farbą.
Leżą na świeżych kurhanach
Uszka i denka i dzbany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Tytułową porcelanę można interpretować na kilka sposobów:

1. Jako wyrób rzemieślnika-artysty- wtedy porcelana staje się niczym innym jak metaforą kulturowego wyrobu człowieka (jest to najbardziej dosłowna interpretacja)

2. Jako metaforę poezji, tej wyjątkowej i kruchej zarazem, której istotą jest piękno.

A tak przy okazji...

Ogólnie wiersz sprawia wrażenie lekkiego, eterycznego (po części wpływają na to liczne zdrobnienia: „uszka”, „spodeczki”, „wietrzyk”). Ta pozorna lekkość jest jednak złudzeniem. W tym wierszu przywołany jest obraz wojny, zniszczenia. Wprawdzie poeta ani razu nie użył bezpośrednio słowa „wojna”, za to w wierszu pojawia się synekdocha „przeszły tanki” (czyt. przeszły czołgi) oraz inne fragmenty świadczące o tym, że mamy do czynienia z powojennym obrazem np. „Teraz ach zaplamione/ Brzydką zakrzepłą farbą.” Zakrzepła farba to nic innego jak krew (a przy okazji metafora).

5. *Igranie z gramatyką*- o ile w prozie jesteśmy zobligowani do przestrzegania reguł gramatycznych, o tyle w poezji mamy prawo do większej nonszalancji i swobody, tzn. nie musimy używać znaków interpunkcyjnych, możemy nie przestrzegać zasad pisowni wielką literą. Należy jednak pamiętać o tym, żeby być konsekwentnym i trzymać się raz obranej drogi, inaczej wiersz będzie sprawiał wrażenie chaotycznego i nieprzemyślanego.

15 Ćwiczeń dla pisarzy i poetów

Autor: Rootsrat

Tłumaczenie własne tekstu ze strony:
<http://www.poewar.com/fifteen-craft-exercises-for-writers/> **autorstwa J.C. Hewitta.**

Te ćwiczenia to dobry sposób na podwyższenie umiejętności pisarskich i na nowe pomysły do przyszłych prac. Mogą także rzucić nowe światło na twoje bieżące projekty. Jedną z zalet takich ćwiczeń jest to, że możemy uwolnić się od strachu (przed oceną - przyp. tłum. :)) i perfekcjonizmu. Rozwijając się jako pisarz, ważnym jest, żeby czasem napisać coś, czego się nie zamierza publikować. Nie bój się być nieperfekcyjny. Po to właśnie są ćwiczenia. To, co napiszesz w którymkolwiek z nich może nie być twoim najlepszym dziełem, ale będzie to doskonała praktyka potrzebna do napisania tego dzieła.

1. Wybierz 10 osób, które znasz i napisz 1-zdaniowy opis każdej z nich

2. Nagraj 5 minut radiowego talk-show. Rozpisz dialog i dopisz narracyjny opis osób i tego, co się dzieje, tak, jakbyś opisywał scenę w książce.

3. Napisz swoją biografię na 500 słów.

4. Napisz swój własny nekrolog. Listę wszystkich osiągnięć w życiu. Możesz napisać tak jakbyś zmarł dzisiaj, albo posłużyć się wyobraźnią i napisać, jakby taki nekrolog wyglądał za 50 lat.

5. Opisz swoją sypialnię. Na 300 słów :)

6. Napisz fikcyjny wywiad z samym sobą, znajomym, znaną osobą lub z fikcyjną postacią. Napisz go w stylu z poważnego, albo rozrywkowego magazynu.

7. Kup poważną gazetę albo tabloid. Poszu-

kaj artykułu, który cię zainteresuje i napisz krótką scenkę, mając za bazę artykuł.

8. Prowadź pamiętnik fikcyjnej postaci (może być ona z twojego opowiadania, nawet lepiej, bo utożsamisz się z bohaterem)

9. Wybierz fragment z książki. Może być ulubiony albo taki, który ci się nie podobał. Przeredaguj i napisz ten fragment w innym stylu np. noir, gothic romance, pulp fiction albo horror.

10. Wybierz sobie autora, którego lubisz (niekoniecznie ulubionego!) i zrób listę rzeczy, które ci się podobają w jego stylu pisania. Zrób to najpierw z pamięci, później przeczytaj ponownie kilka utworów tego autora i sprawdź czy coś pominąłeś lub czy twoje odpowiedzi się zmieniły. Przeanalizuj i pomyśl, które elementy z tegoż autora stylu możesz dodać do własnego stylu, a których nie powinienś albo nie możesz. Pamiętaj, że musisz wypracować swój własny styl i spróbuj pomyśleć o sposobach ulepszenia go. Nigdy dokładnie nie kopiuj kogoś innego, chyba że w jednym czy dwóch ćwiczeniach, dla treningu!

11. Weź kawałek własnego tekstu, który napisałeś w pierwszej osobie i przepis go z perspektywy trzeciej osoby lub vice-versa. Możesz także spróbować zmienić czas, narratora albo inne elementy stylistyczne. Przeprowadź to ćwiczenie na krótkim tekście, inaczej spędzisz czas nie pisząc, a przepisując :)

12. Pomyśl o swoim najwcześniejszym wspomnieniu z dzieciństwa. Zapisz wszystko, co sobie przypomniałeś. A teraz przepis to jaka scenę z opowiadania. Możesz zrobić to z terażniejszej perspektywy, albo z perspektywy z tamtego okresu.

13. Przypomnij sobie swoją sprzeczke lub kłótnie z kims. napisz o niej z perspektywy tamtej osoby. Pamiętaj, że chodzi o przedstawienie problemu z jej punktu widzenia, nie twojego.

14. Napisz opis miejsca na 200 słów. Możesz ozywać do opisu wszystkich zmysłów, oprócz wzroku. Opisz jak ono brzmi, pachnie, a nawet jak smakuje. Spróbuj to tak napisać, żeby czytelników nie ominęły wizualne detale, bez ich opisywania :)

15. Usiądź w restauracji albo innym zatłoczonym miejscu i zapisz strzępki rozmów, które usłyszysz. Słuchaj ludzi wokół siebie - w jaki sposób mówią i jakich słów używają. Później spróbuj dokończyć te konwersacje. Dopisz własny ciąg dalszy dla każdej z nich, ale postaraj się dopasować sposób mówienia poszczególnych rozmówców.

I to tyle. Ćwiczenia ciekawe i na pewno rozwijające, sam skorzystam z wielu z nich. Goraco polecam!

Dzień Otwarcia

Autor: Disaster

P
U
B
L
I
C
Y
S
T
Y
K
A

Halo halo, Mietku – halo halo, Franku, czyli sprawozdanie z otwarcia nowego(?) supermarketu w małym miasteczku.

Na początku chciałbym zaznaczyć, że nie jest to artykuł, którego tematem jest otwarcie sklepu, lecz opis zachowań ludzkich z nim związanych.

Nowy, będący jeszcze w trakcie powstawania budynek od dawna przyciągał uwagę i był źródłem plotek i przypuszczeń. Mijając go widywałem ludzi pilnie badających tablicę budowlaną i narzekających, że „sklep spożywczy” to dla nich zbyt ogólna informacja. To jest wg mnie zwyczajnie śmieszne.

Później, kiedy prace przygotowawcze były już na etapie przywożenia towaru, ciekawość wzrosła wraz z liczbą zainteresowanych. Zdarzało mi się widzieć ciekawskich stojących przed szybą i podziwiających fascynujący show pt. „Układanie towaru na półkach”. Spotkałem się nawet z sytuacją, że jakaś starsza pani jeździła w kółko rowerem po parkingu wyciągając szyję przejeżdżając koło wejścia,

aby choć przez chwilę zerknąć, co się tam w środku dzieje. Nie wiem, co to miało być, chyba jej się wydawało, że taki dynamiczny zwiad jest bardziej dyskretny od sterczenia przed szybą. To jest jeszcze śmieszniejsze.

W końcu nadszedł dzień otwarcia. Przechodziłem rano obok, widziałem parking zastawiony autami tak, że nawet maluszka by się już tam nie wcisnęło. Mijałem wielu przechodniów. Od razu rozpoznawałem, kto z nich idzie na szturm nowego sklepu – zakupowy obłęd w ich oczach był bardzo wyraźny. Wracając do domu po zajęciach weszliśmy z kolegą do środka. Kolega ugrzązł w tasiemcowej kolejce na dobre 20 minut, więc czekając na niego przy wejściu miałem dużo czasu, aby poobserbować klientów. Jedno słowo mi przychodzi do głowy, kiedy chcę nazwać to, co widziałem: paranoja.

Wózków brakowało bez przerwy. Najbardziej zdeterminowani stali pod drzwiami i rzucali się na wychodzących z błaganiami o odstąpienie wózka. Jeden pan chciał nawet wychodzącej klientce zapłacić, aby dała mu

wózek jak najszybciej. Nie było sekundy, żeby drzwi się nie otwierały, ludzie biegali jak w amoku. Trudno było uniknąć skojarzeń ze skeczem, do którego nawiązałem na początku, emeryci rzeczywiście nie wyglądali na wycieńczonych.

Po co wchodzić do supermarketu, skoro nie zamierza się nic kupić? Nie rozu-



miem. Niektórzy swoje sklepowe wyprawy zapętlali – wychodzili od kasy z pustym wózkiem i wchodzili jeszcze raz – tego tym bardziej nie rozumiem. Ciekawe były też rozmowy, które od czasu do czasu wpadały mi do ucha: „- Pan nic nie kupuje? – Nie, ja tylko wpadłem pooglądać” (dwóch panów rozmawiających w wejściu utrudniając ruch), albo „...to jeszcze nic, to jest druga fala taka, rano było jeszcze gorzej!” (ochroniarz do znajomego, który przyszedł na zakupy).

Bardzo mnie ubawiło to, że ludzie nie rozumieją dwóch słów: „wejście” i „wyjście”. Wchodzili wejściem, a wychodzili...wejściem. Cóż z tego, że drzwi wejściowe wyposażone są w fotokomórkę tylko od zewnątrz? Polak potrafi sobie i z takim problemem poradzić – stali pod drzwiami i czekali, aż ktoś z zewnątrz wejdzie w pole fotokomórki i umożliwi im przemknięcie „pod prąd”. Nie wszyscy byli tak bystrzy. Jedna młoda dziewczyna waliła w drzwi pięściami, kiedy nie chciały się otworzyć, dzieciak próbował je na siłę rozchylić ręcznie a dwie starsze panie zostały zatrzaśnięte, bo nie zdarzyły się prześliznąć – jednej utknęła ręka, a drugą najzwyczajniej ścisnęły zamykające się drzwi. Zgroza.

Sporo wrażeń, jak na 20 minut spędzone w supermarkecie. O autentyczności wszystkich zaręczam, jakkolwiek byłyby one absurdalne. A co w tym wszystkim najśmieszniejsze? Co najdziwniejsze? Najgłupsze? To, że ten nowy sklep, to Biedronka, która w mieście ma już jeden budynek. Jaką atrakcją jest więc otwarcie drugiej, takiej samej? Dla drobnomieszczańskiej masy widać wielką. Z czego to wynika? Z chorego konsumpcjonizmu, czy z braku ciekawszych wydarzeń w mieście? Nie wiem. Wiem za to, że nowa Biedronka wyludniła tego dnia połowę domów w całej miejscowości i okolicach. Ciekawi mnie tylko, ilu klientów miał dzisiaj ten starszy supermarket.

Wywiad z Pawłem Bronickim

Autor: Kot

P
U
B
L
I
C
Y
S
T
Y
K
A

Umieszczanie swoich prac na stronach internetowych jest czymś w rodzaju wstępu do prób w postaci druku. Jesteś tu z nami dłuższy już czas, jednocześnie poszedłeś duży krok dalej, wydając tomik własnej poezji. Jako bardziej doświadczonego druha po piórze, proszę byś podzielił się z nami garścią swoich spostrzeżeń.

Sieć sama w sobie wymaga, abyśmy byli dla siebie anonimowi, jednak, opowiedz nam nieco o sobie. Czym zajmujesz się w realnym świecie, czy Twoim udziałem jest samotność w wielkim mieście, a może duża wspólnota w małej wiosce?

Kim jestem w realnym świecie? Przede wszystkim człowiekiem. Najpierw jednak Polakiem. Potem człowiekiem. I cały czas sobą. To trzy filary mojego jestestwa. A tak wracając do pytania i odpowiedzi, której oczekujesz, to jestem ojcem szczęśliwej czteroosobowej rodziny (wraz ze mną). Jestem żonaty. Mam dwójkę dzieci – starszego syna w szkole średniej i młodszą córkę – w szkole podstawowej. I tym trzem istotom poświęcam cały swój dodatkowy czas, jakim dysponuję po pracy. A pracuję w instytucji państwowej i mieszkam bardzo mało czasu wolnego. I tu Cię zaskoczę (w aspekcie jednego z kolejnych pytań). Jestem żołnierzem. Pracuję w wojsku. Jeżdżę na poligony, strzelam, kształcę się do zabijania. Ale jestem też patriotą. Kocham ten kraj. Dla niego pracuję i dla niego tworzę. Kocham też swoją rodzinę, która jest mi wszystkim, co mam. Dla niej jestem w stanie poświęcić wszystko. Jestem też jedynym dostarczycielem pieniędzy dla niej i tylko dzięki mojej pracy mogę zaspokoić ich i swoje potrzeby. Co do drugiej części pytania, cóż, mieszkam w niewielkiej miejscinie na zachodzie kraju (zaledwie 1000 mieszkańców), ale nie czuję się samotny. A i udzielam się też w lokalnej społeczności.

Wielu z nas para się tu twórczością literacką, każdy ma swój niepowtarzalny sposób na przyływ weny. Opowiedz proszę, jak tworzysz. Czy zamykasz się w samotności, czy też wprost przeciwnie, piszesz wśród ludzi gdzieś w kawiarni czy tym podobnym miejscu? Czy piszesz najpierw tradycyjnie, piórem na papierze, czy może od razu na klawiaturze komputera.

Jeśli odpowiadałbym, że tworzę „po prostu”, myślę, że wyczerpałbym odpowiedź na to pytanie. I jest to prawda. To przychodzi samo, nie wiadomo kiedy, siada mi na ramieniu, ściska w duszy, łamie serce i po chwili powstaje to, czego mimo wszystko nie oczekuję w danym momencie. Nie potrafię nad tym zapanować, po prostu jest, pojawia się znienacka i pozostaje, zanim nie wydobędzie się gdzieś z mojej otchłani to, co potem staje się wierszem, czy też opowiadaniem. Bo musisz wiedzieć, że jestem też pisarzem. Zresztą, skoro już jesteśmy szczerzy, to zdradzę Ci tajemnicę, że kilka z nich czeka na publikację w tym samym wydawnictwie, w którym udało mi się wydać poezję. Ale wracając do tematu. Piszę w różnych miejscach: w kawiarni, na zajęciach, w fotelu pociągu, w kolejce, po wysłuchaniu utworu, po przeczytaniu książki czy wiersza, po kłótni. Każdy powód jest dobry do napisania wiersza, czy nawet opowiadania. Nie znasz bowiem dnia, kiedy i miejsca, gdzie dopadnie Cię wena twórcza. A ona zazwyczaj przychodzi w najmniej oczekiwanym momencie. Kiedyś, pamiętam stałem z bronią na posterunku chroniąc bardzo ważny obiekt i zamiast uważać na otoczenie (a była gęsta noc i mgła), zacząłem nagle rymować słowa. Niestety nie miałem nic do zapisania i próbowałem zapamiętać to, co wytworzyła głowa, ale niestety ulotniło się wszystko tak szybko, jak się pojawiło. Z zapisywaniem tego, co nagle pojawia się w głowie, lub w dziwnym szepcie, jest i zawsze był problem. Kiedyś (piszę przecież już od dobrych 27 lat), kiedy nie

było komórek, czy komputerów, zapisywałem wszystko na kartkach papieru. Potem skrzętnie to przepisywałem do brulionów, których zrobiło się kilka tomów. Ale od kiedy mam komórkę i laptopa, to większość z nich zapisuję w formie zapisywanych w folderze „Robocze” SMS-ów, które potem przepisuję do pliku w formacie txt lub bezpośrednio w komputerze. Wracając do tych brulionów, gdy dorobiłem się komputera postanowiłem przepisać wszystkie wiersze właśnie do niego. I kiedy uczyniłem to, stała się tragedia. Pewnego dnia chciałem zainstalować nowy system, ale zrobiłem to nieudolnie, ponieważ sformatowałem wszystkie dyski i utraciłem wszystkie znajdujące się tam wiersze. Jeszcze wtedy nie potrafiłem odzyskiwać danych ze sformatowanych dysków. Cóż, większość wierszy przepadła bezpowrotnie, został tylko jeden nie do końca zapisany tomik i jeszcze nie przepisany. Zapytasz się pewnie, co stało się z papierową wersją wierszy? Otóż po prostu zniszczyłem je w momencie ich przepisania do komputera. Wtedy to kilka dni chodziłem jak struty. Straciłem bowiem kawał swego życia. I właśnie wtedy powstał wiersz, który zwie się „Pożar” (zamieszczony na portalu i w wydany przez mnie tomiku) a rozpoczyna się od słów:

„Spłonęła dzisiaj biblioteka
Tworzona chwilą (?) w chwil zachwycie,
Zatarłszy nagle ślad człowieka,
Zabrawszy mu tym jego życie...”

A kończąca się moim zdaniem piękną myślą:

„Wiem! Zaraz wzleci Weny mewa,
Sens nowszy nada starym słowom.
Z upadku wszak się podnieść trzeba...
I umieć zacząć żyć na nowo.”

I ja powstałem, nadal tworzę. Mam na swoim koncie ponad 200 wierszy. Wena, jak wiadać mnie nie opuściła, chociaż od tamtego

czasu minęło już prawie osiem lat.

Wydałeś swój tomik poezji, Jesteś więc bogatszy od większości z nas o jeszcze jedno doświadczenie. Opowiedz nam, jakie działania trzeba podjąć, by zainteresować wydawnictwo i wydać owoce własnego pisarstwa?

Może zacznę od tego, że raczej byłem i nadal jestem jednak pisarzem i poetą do „szuflady”. Owszem, nieraz, szczególnie po roku 2000 korciło mnie wydanie tomiku poezji, ale niestety nie udawało mi się. Brałem udział w kilku konkursach, ale moje teksty przepadały i nie były w ogóle brane pod uwagę. Dopiero teraz, a dokładnie pod koniec zeszłego roku postanowiłem, że trzeba jednak spróbować inaczej. Że powinienem wyjść ze swoją twórczością szerzej. Że nastał czas wydania jakiegoś tomiku wierszy. I przyszedł mi z pomocą Internet. W wyszukiwarce wpisałem „wydawnictwa poezji” oraz „jak wydać własną poezję”. I rozpocząłem wyszukiwanie. Potem wysłałem wiele próbek mojej poezji do wielu wydawnictw, ale tylko kilka zechciało wydrukować to, co podesłałem. Wydałem w „You-ebook”, bo chcieli wydać mi zbiorek za darmo. Inni chcieli pieniędzy za wydanie, ale mnie na takie rozwiązanie teraz i jeszcze długo nie będzie stać. A co do tego, jak wydać? Nie ma złotego środka. Trzeba przede wszystkim chcieć i próbować. I mieć dużo samozaparcia. Jeszcze go mam, zobaczymy jak długo.

Przeszedłeś już cały cykl wydawniczy, czy bardzo trudno prześlizgnąć się przez sita wydawnictw? Słyszysz się wręcz o legendarnej złośliwości przeglądających pracę redaktorów. Ile w tych pogłoskach jest prawdy?

Już po części odpowiedziałem na to pytanie w poprzednim pytaniu. Tak, uważam, że bardzo trudno przecisnąć się przez sito wydawnictw. Niech odpowiedzą liczby. Wysłałem ponad 200 maili do różnych wydawnictw z próbkami (większymi lub mniejszymi) swojej poezji – wszędzie takie same (ten sam tomik). Odpowiedziało mi tylko cztery. Trzy

chciały i nadal są zainteresowane wydaniem mojej poezji, ale obliczyły mi koszt wydania na około 4500 – 6500 za 100 egzemplarzy. I jedno, które zrobiło to za darmo. Jako e-book. Nie jestem zwolennikiem tego typu książek, ale chciałem wydać, więc pomny doświadczeń innych (na przykład J.R.R. Tolkiena z jego „Władcą Pierścieni”) wołałem wzbic się ponad uprzedzenia. Wracając jednak do tych wydawnictw, za wyjątkiem tych czterech, o których wspomniałem żadne z pozostałych nawet mi nie odpisało, że „nie nadają się do wydania” czy też coś w tym stylu. Wydaje mi się, że jest to jakaś niechęć do wydania czegoś od kogoś nowego, albo po prostu wydawcom nie chce się zaryzykować. Ja to tak odbieram. Bo skoro wiele wierszy jest czytanych na różnych forach, ludziom się podoba, to czy wydawcy albo recenzenci są innymi ludźmi?

Wersy twoich myśli za pośrednictwem wydanego tomiku pozna wielu czytelników. Jakie to uczucie kiedy ma się świadomość, że własna twórczość trafi do tak wielu odbiorców?

To wspaniałe uczucie. Przecież po to tworzę, by podzielić się z innymi moimi wątpliwościami, by dać ludziom drogowskazy, których poszukują. By odpowiedzieć im na nurtujące ich pytania. No i by samemu znaleźć to, czego wciąż nie potrafię odnaleźć. Dlatego chcę, aby jak najwięcej ludzi to czytało. Poza tym jest jeszcze jeden ważny aspekt. Bez czytania mojej twórczości przez innych nie będzie się ona rozwijać. Ktoś musi przecież spojrzeć na nią innym, „zewnętrznym” okiem i ocenić ją. Konstruktwna krytyka, a nie krytykanctwo jest wszak i motorem dla jej rozwoju ale też i miodem dla mego serca.

W swoich wierszach piszesz na wszystkie chyba możliwe tematy. Skąd je bierzesz?

To życie podpowiada tematy i daje niesamowite możliwości interpretacji. Trzeba tylko umieć w całym tym zgiełku zatrzymać się na

chwilę, rozejrzeć się i zobaczyć to, co piękne. Co niesamowite. Co niezbadane. Nieokiełznane. Nienazwane jeszcze po imieniu. Co ponadczasowe. Ja to potrafię. Dlatego wciąż znajduję tematy. A może mam dar do znajdowania ich? Kto wie? Oczywiście żartuję.

Twoje dzieła zawierają dużą dawkę tak dziś potrzebnego ludziom optymizmu. Powiedz proszę skąd go bierzesz w dzisiejszych, nie najweselejszych przecież czasach.

No tak, przekleństwem starożytnych było „obyś dożył ciekawych czasów”. Wcale nie uważam, że nie jest ciekawie. Wręcz przeciwnie. A mój optymizm, pomimo bardzo nieciekawego życia wciąż we mnie jest, bo na wszystko patrzę z pewnym dystansem, z humorem, z chłodną kalkulacją, wręcz angielską flegmą i to pozwala mi żyć nie zwariowawszy kompletnie. Może to jest właśnie ten „klucz”? Sposób?

Piszesz swe utwory „tradycyjnie”, umieszczając w nich pięknie skonstruowaną strukturę rymów, dbasz o metrum, czy nie czujesz pokusy pisania wierszy tzw „białych”?

Dziękuję za te pochlebstwa, ale czy to nie jest lekka przesada, z tymi „pięknymi strukturami rymów”? Chyba jednak tak. Nie uważam się za kogoś wyjątkowego. I swojej twórczości za taką nie uważam. Jest po prostu według mnie prosta. Zwyczajna. Zrozumiała. Dlatego nie lubię takich sformułowań, ale skoro ich użyłeś, to bierzesz na siebie, rozumiem, odpowiedzialność za wypowiedziane i napisane słowa. Ale wracając do pytania. Nie mam takiej pokusy. Pod tym względem jestem tradycyjalista. Owszem napisałem kilka wierszy białych (zliczę je na palcach dwóch rak), ale traktuję je raczej jako swego rodzaju „skoki w bok” czy też po prostu eksperymenty. To wynika chyba z mojego zauroczenia poezją Szymborskiej, Romantyków, Tuwima i wielu innych, którzy pisali wiersze rymowane. Jednakże nie widzę w tym nic złego. I jeszcze jedno, jakoś nie przemawiają do mnie wiersze

tak zwane „białe”. Ale nie jestem ich przeciwnikiem. W poezji jest miejsce na każdą wypowiedź podaną w każdej formie. A im piękniejsza czy też bardziej zrozumiała, tym bardziej. Najważniejsze, to przecież umieć napisać tak, by powiedzieć to, co wszyscy rozumieją. A jeśli zinterpretują inaczej, to czyż to nie jest właśnie o co chodzi. I to jest prawdziwa poezja. A czy podana będzie w sposób tradycyjny, czy nie, przecież to obojętne.

Współcześnie sieć komputerowa pozwala właściwie każdemu dzielić się swoimi prześleniami. Powstają blogi, jest wiele stron na których można publikować swoje prace, czy nie sądzisz że takie upowszechnienie powoduje zaniżenie poziomu prezentowanej literatury?

Nie, wcale tak nie uważam. Dla niektórych (ja tu jestem świetnym przykładem) jest to jedyna forma zaprezentowania swojej twórczości szerzej, ze znanych nam z wcześniejszych pytań powodów. A bardzo często wśród tych internetowych publikacji znaleźć można prawdziwe perełki.

Wiele dzieł współcześnie wydawanych jest w postaci elektronicznej, jednocześnie nowe wynalazki, internet, czy choćby epapier, coraz bardziej ułatwiają ich odbiór. Co sądzisz o możliwości zniknięcia z naszej rzeczywistości tradycyjnych, drukowanych na papierze książek, na rzecz elektronicznych nośników informacji?

Cóż, postęp technologiczny niesie za sobą nowe wyzwania i taka jest kolej rzeczy. To dobrze, bo można dzięki temu dotrzeć do większego elektoratu. Szkoda jednak by było, gdyby tradycyjna forma książki przestała kiedyś funkcjonować, trudno nam się z tym pogodzić, ale chyba jednak powoli musimy się do tego przyzwyczajać. Jeśli natomiast jej zniknięcie nie spowoduje, że ludzie przestaną czytać, a także, że przybędzie analfabetów, to nie jestem za takim rozwiązaniem. Jednakże, jeśli do tego nie dojdzie, cóż taki będzie ka-

prys przyszłości i trzeba to uszanować.

Jesteś tu z nami od dłuższego już czasu. Jak oceniasz zamieszczane tu prace i atmosferę naszego forum?

Bardzo mi się podoba to forum. Trafiłem na nie bardzo przypadkowo. Co do poziomu prac nie chcę się wypowiadać. Nie jestem krytykiem a poza tym nie lubię krzywdzić ludzi, a mógłbym to nieopatrznie zrobić. Często czytuję wiersze zamieszczone na forum. Mam swoje zdanie na temat ich poziomu. Nigdy nie oceniam, ponieważ wychodzę z założenia, że wiersz, albo się lubi, czuje, albo się go odrzuca. Ja tak robię. Pozostawiam to sobie. Myślę, że częste moje przebywanie na tym forum jest najlepszą odpowiedzią na to pytanie. Inaczej nigdy bym tu nie zaglądał.

Na koniec naszego wywiadu, jakiej rady udzieliłbyś zaczynającym dopiero swą działalność adeptom pióra?

Chciałbym udzielić dwóch rad. Pozwolisz, że wyrażę je fragmentami dwóch wierszy zamieszczonych na forum, z których jeden (drugim) jest również w moim tomiku *Poezji „Krajobrazy Duszy”*:

„Często nie da się zrozumieć
Niepokoju i negacji,
Ale trzeba wyjście umieć
Znaleźć z każdej sytuacji.”

A druga rada brzmi:

„Bo gdy Ci zbraknie całej wiary,
Przy której tacyśmy ogromni,
Zatrzymaj wszystkie swe zegary,
Duszę odblokuj i Zapomnij?!”

Dziękuję serdecznie.



Oto Ja – Paweł Marek BRONICKI. W całej okazałości. Kim jestem? Po pierwsze – Polakiem. Z dziada pradziada. Z krwi i kości. I na dodatek dumnym z tego niezmiennie. Po drugie – człowiekiem. Zawsze i wszędzie, niezależnie od sytuacji i nastroju. W świecie poezji i prozy zaś jestem Nikim. Osobą bez dokonań (żadnych), istotą bez nazwiska (uznanego). A tak na poważnie – w życiu jestem przede wszystkim głową szczęśliwej rodziny (żonaty od 1991 roku, córka, syn oraz ja). I jestem szczęśliwy, że ich mam, bo dzięki nim realizować mogę swoje marzenia i przenosić na papier to, co serce podpowie a dusza ubierze w proste słowa.

Z poezją obcuje od podstawówki, gdzie zakochałem się w wierszach Romantyków. Sam piszę już od ponad połowy życia (urodziłem się 29.03.1968r.). Pierwszy wiersz datowany jest na 1983 rok. Dotychczas wszystkie lądowały w szufladzie. Jednakże niedawno stwierdziłem, że najwyższy czas to zmienić. Stąd ów zbiorek poezji, wybór kilkudziesięciu wierszy spośród całej plejady wielu utworów, jakich całe mnóstwo udało mi się dorozić w dotychczasowym życiu. Ich nazwy nie są przypadkowe, gdyż zebrałem w nich utwory, które

w najlepszy sposób przedstawiają to, co czuje niejednokrotnie moja niespokojna i jakże romantyczna dusza. Są to różnorodne krajobrazy. Wyznania. Wszystkie ułożone według specyficznego alfabetu. Jakiego? - odpowiedź znajdziesz w środku tomiku.

Marzę, abyś Ty zabiegany, zaganiany Czytelniku zatrzymał się na chwilę, przeczytał poezję zebraną w tym tomiku, zadumał się przez chwilę, zastanowił i pognął z nią w dalszą drogę inaczej spoglądając na świat. Tak niewiele wymagam od Ciebie – chwili.

Oczekuję też dogłębnej krytyki, wszak nie ma ideałów. Odczucie czytelników jest dla mnie najważniejsze, dlatego proszę o wszelkie komentarze do mojej twórczości pod poniższy adres: pabro68@poczta.fm. Każda sugestia, każdy przesłany komentarz przyczyni się do rozwoju mojej twórczości.

Mam nadzieję, że na tym tomiku nie zakończy się moja twórczość, a Wena znajdzie mnie jeszcze niejednokrotnie.

Jesteś osobą **kreatywną**?

Kochasz wszelakiego rodzaju **literaturę**, zarówno **prozę**, jak i **poezję**?

Pragniesz poznać **opinię** o swoich utworach, **bez złośliwości** i obraźliwych komentarzy?

Chcesz poprawiać swój **warsztat** w przyjaznym gronie?

Lubisz poznawać nowych, ciekawych **ludzi** (i jednostki bardziej szalone)?

Jeżeli na którekolwiek pytanie możesz odpowiedzieć "tak", to z radością zapraszamy na **forum literackie**:

www.Inkaustus.pl

Przyjdź. Zobacz. Pozostań!

Do zobaczenia w kolejnym numerze ;)

Zguba